

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

26.X. 1952 — L. MAJ — W gminie Bystra — W. JANICZEK — W gminie Gromnik
K. KORCELLI — Czarniecki i jego żołnierze A. JACHNINA — Tomasz-niedowtarki
M. GRABOWSKA — „Serce mi pękło” J. DANECKI — Pionierzy kultury w terenie
G. TIMOFIEJEW — Czytelnicy mówią o książkach K. KAŁCZEW — Widziałem Warszawę
J. RURAWSKI — Trudności debiutu T. KOWALCZYK — Teatr w Olbrachicach Wielkich
N. J. WAPCAROW — Wiersze T. CHYBA — W Żyrardowie F. KORWIN — Poeta walki

Rok IX

Warszawa, dn. 2 listopada 1952 r.

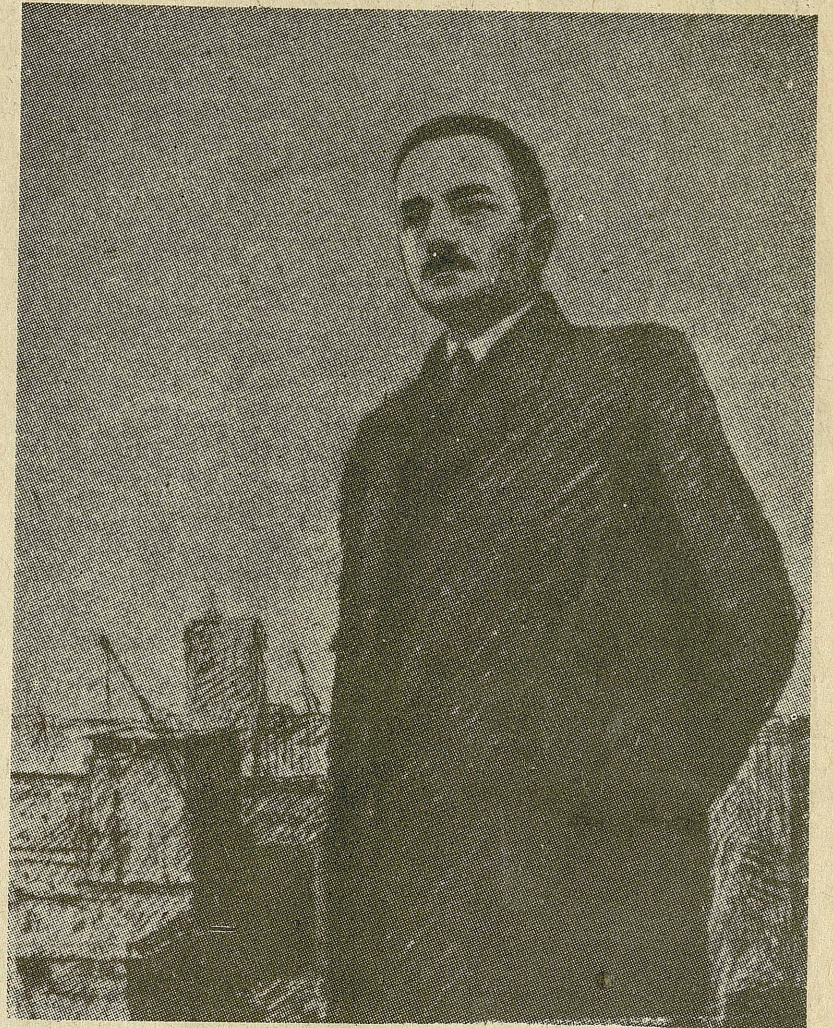
Nr. 44 (378)

NARÓD ZADECYDOWAŁ

Na 16.305.891 uprawnionych do głosowania głosowało 15.495.815
95,03% uprawnionych stanęło do urn wyborczych
99,8% głosów oddano na FRONT NARODOWY

W ten sposób wszyscy kandydaci na posłów i na zastępców posłów uzyskali wymaganą większość głosów, wszyscy zatem zostali wybrani do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Zjednoczeni w szeregach Frontu Narodowego — idziemy naprzód do dalszych zwycięstw!



Rys. A. Kobzdej

Front Narodowy trwa

ADAM SAR

NOTATKI Z OSTATNIEGO TYGODNIA

WIAZOWNIA WOLA, pow. Łask,
21 października

WIECZÓR. Z pola ściągają ostatnie furmanki pełne ziemniaków. Wykopki opóźnione w tym roku. Na niższych gruntach deszcze uniemożliwiły użycie kopaczek. Trzeba działać ręcznie i to nie w każdy dzień. Deszcz przeszkadza. Ziemiaki „kradnie się” z pola. Zebrani w sali szkolnej chłopcy medytują.

— Przyjadą, nie przyjadą. Przyjechali jednak. Z mównicy czerwonym płótnem okrytej przemawia Władysław Walecki. Trzy naftowe lampy ustawione na przedykcyjnym stole oświetlają jego pokrytą zmarszczkami twarz i siwe włosy.

Chłopi słuchają. Siedzą w szkolnych ławkach. Stoi przed nimi człowiek, który w stroju kapitalistycznym miał sobaczy łos. Ale dopiero dziś dystans, jaki dzieli kandydata na posła od sieroty sypiającego na wytku w kulańskiej stajni — pozwala zrozumieć, cały ogrom krzywdy i cały ogrom awansu biedoty chłopskiej.

MĘKA, pow. Sieradz,
22 października

S KAD się wzięła taka — nazwa wsi, nikt nie wie. Tak czy inaczej przestała być męką. Z gminy Wozniki, do której należy Męka, odeszło w okresie 8 lat powojennych zawodów. Co by to było, gdyby ci ludzie zostali na wsi?

— Ten argument trafia ludziom najbardziej do przekonania, opowiada o swoich wrażeniach z akcji aglacyjnej ZMP-owiec Józef Grobelny. Gdy się ludziom o tym mówiło, zaraz zaczęli liczyć, ile to od nich poszło z gromady do fabryk, ile do szkół, gdzie kto pracuje, ile zarabia... Tak było w Michałowie, w Piaskach, w Rzechcie, w Podlężycach.

Sprzedaliśmy 250 broszur, a potem 300. W ciągu tygodnia czterech młodych — Jędrzak i Pająk z Rzechy a z Podlężyc Sitkowski i Swiniarski zgłosili się do przemysłu metalowego. Wyjda już 1 listopada.

— A wybory? — Też pytanie — zaperzył się Grobelny. Czteryście kilkadziesiąt osób sprawdziło w Komisji Obwodowej, czy są na liście wyborców. Przed wojną był od nas postem Bartczak z Szatków, bogaty młynarz.

— Pamiętacie? — Skądże. Mały jeszcze byłem. Ale tu na wsiach o nim słyszałem. Ludzie pamiętają. Sam dużo się przez te kilka tygodni nauczyłem.

ZYWOCIN, powiat Piotrków,
23 października

W CZTERY dni po zjeździe przodujących chłopów w Piotrkowie a na 3 dni przed wyborami zetknąłem się drugi raz z Józefem Węzorem. On również przywiózł z Piotrkowa dyplom uznania za patriotyczne wykonanie obowiązków wobec państwa.

— Nasz powiat pierwszy w województwie łódzkim został zwolniony od miarek i odsypów. I nasza gromada przyczyniła się do tego. W odstawię zboża dochodzimy już do 100 procent. A wybory? Nasze kartki będą ciężkie. Głosujemy nie tylko na ludzi. Głosujemy także na program. Nie tylko kartką wyborczą. Jakże byśmy mogli postąpić inaczej? Z powiatu piotrkowskiego kilka tysięcy ludzi ze wsi znalazło pracę w przemyśle. Ponad tysiąc synów i córek chłopskich uczy się zawodu i pracuje w samym tylko kombinacie piotrkowskim. Przed wojną tylko 6 wsi było zelektryfikowanych i wszystkich kilkadziesiąt chłopów korzystało ze światła elektrycznego. Dziś mamy już w powiecie 45 zelektryfikowanych gromad. Przecież to chłopci widzą. Zresztą — jesteście w gromadzie — porozmawiajcie sami.

Rozmawiałem. O chłopach z Żywocina można powiedzieć krótko: mocno tkwią we Froncie Narodowym. A Węzer — zdawało mi się — jakby urosł przez Cztery dni.

GALKÓWEK, powiat Brzeziny,
24 października

ALFONS Sokołowski, przewodniczący Zrzeszenia Uprawy Ziemi przebiega z żoną ziemniaki w stodole. Zbierane w czasie deszczu za kopaczką przeszły w stodole na klepsku. Nie mogą tu jednak leżeć tygodniami. Trzeba je przebrać i zakopocować.

— Deszcze i deszcze — powiada — z pola zebrać trudno. Z pola człowiek wraca uszargany jak nieboskie stworzenie.

— Pytacie o wybory? My do wyborów idziemy z dorobkiem... W r. 1949, gdy zakładaliśmy spółdzielnię, było nas 9-ciu. Garstka. Dziś jest nas prawie pięć razy więcej, bo czterdziestu dwóch. O, wczoraj przyje-

liśmy trzech nowych: Brota, Pawłaka i Tadeusza Sokołowskiego. Złożyli podanie. Chcemy — mówili — głosować już jako spółdzielcy.

LIPCE REYMONTOWSKIE
pow. Skierniewice
25 października

JUTRO wybory. Sala szkolna, w której mieści się lokal wyborczy — gotowa. Urna, zasłony, lampy... Wyglądam przez okno. Stoi pomnik Kościuszki z grubych nieciosanych głazów, z piastowskim orłem na szczycie. Na wmurowanej tablicy napis:

Tadeuszowi Kościuszce
Naczelnikowi
Narodu Polskiego
Wójtanie wsi Lipce
D. 15 października
1917 roku.

A więc równo 35 lat temu chłopcy Reymontowskich Lipiec uczcili pamięć człowieka, który uwolnienie chłopów z pańszczyźnianego ucisku uznał za niezbędny element walki o wyzwolenie narodowe.

Zgłosił inny pomnik, wystawiony Lipcom znalazłem w I serii „Pamiętników chłopów”. Autorem pamiętnika nr. 6 jest Stanisław Jankiewicz. W 1933 roku tylko ciekawość tego, co będzie jutro, powstrzymała go od samobójstwa z nędzy i braku jakiegokolwiek nadziei na przyszłość. Jankiewicz żyje nadal w Lipcach. Pracuje w GS-ie, ma kawalek gruntu... jest obywatelem, jest współgospodarzem kraju.

Ludzie rozumieją, że nie sztuka wrzucić kartkę wyborczą do urny. Dlatego, gdy mówię o głosowaniu — mówię jednocześnie o obowiązkach. Dużo łatwiej by tu poszło, gdyby nie było biurokratów. A są. W Gminnej Radzie Narodowej nie zawsze odpowiadają na podania, na zażalenia. Wykryliśmy i załatwiliśmy kilkanaście takich spraw.

Pomnik Kościuszki, pamiętnik Jankiewicza, praca ekipy robotniczej, realizacja obowiązkowych dostaw i jutrzejsze wybory — to wszystko jedna sprawa...

28 października... Warszawa
Włączyłem wieczorem radio. ...okręg Łódź miasto: frekwencja 97,1 proc., na kandydatów Frontu Narodowego — 99,6 proc. — okręg Pabianice: 95,6 proc. i 99,8 proc.; okręg Zgierz — 96,9 proc. i 99,9 proc.; okręg Piotrków: 94,2 i 99 proc.; okręg Skierniewice: 92,7 proc. i 99,8 proc.

Adam Sar

SPEŁNIŁEM wczoraj przy urnie swój obowiązek obywatelski, ale, aby mój głos miał pełną wartość, muszę go poprzeć lepszą pracą, trzeba dziś wyciągnąć co najmniej 130 proc. planu dziennego — myślała idąc do pracy ZPB im. Stalina w Łodzi Krystyna Swiderska w mglisty, jesienny ranek, 27 października 1952 roku.

Przypomniał sobie tego dnia o bezużyteczności leżących w Gieraltowicach 2-eh tonach cementu, o który od pół roku dopominają się okoliczni chłopcy, o niezabezpieczonych ziemniakach konsumpcyjnych w Andrychowie — przewodniczący PRN w Wadowicach i dlatego wcześniej niż zwykle przybył do biura...

Zawstydzili się tego ranka i Leśniak Stanisław, gospodarujący na 4 ha w gminie Wieprz, że robotnicy w miastach wciąż jeszcze czekają na te 60 kg pszenicy, które mu jeszcze pozostały do odstawienia...

A inż. Smok, główny mechanik Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Ostrowie Wielkopolskim już od rana zwołał naradę w sprawie malej mechanizacji zakładów, aby jak najszybciej usuwać materiał rozbiórkowy i złom ze stanowisk robotniczych w halach montażowo-naprawczych i w ten sposób rozszerzyć „wąskie gardło” opóźniające wykonanie planu.

— Trzeba zająć się do spółdzielni produkcyjnej Grudziej Kępskiej w Rzeszowskim i pogadać z tow. tow. Leśniakiem i Furmanikiem, na temat ich stosunku do pracy zespolowej i własności spółdzielczej, przecież ta sprawa ciągnie się już od maja i dotychczas nie jest wyjaśniona, co demobilizuje resztę zespołu, no i opóźnia sieć — przyrzekał sobie solennie sekretarz Komitetu Powiatowego.

Czyż takie i podobne myśli, i postanowienia nie snuły się po głowach każdego z nas, czyż nie zobaczyliśmy nagle, ile pilnej pracy czeka na nas, gdyśmy po wielkim zwycięstwie wywalczonym w dniu wyborów do Sejmu zabierali się do naszej codziennej pracy następnego ranka?

Nigdy jeszcze bowiem nasz naród nie czuł się tak zjednoczony i tak świadomy swej ogromnej siły, jaką mu daje JEDNOŚĆ. Nigdy jeszcze blisko 16 milionów ludzi pracy w miastach i na wsi polskiej nie rozumiało tak dogłębnie jak teraz — o co toczy się walka. Nigdy jeszcze nie widziały tak jasno swoich zadań i swego posterunku w tej walce o lepszą i radosną przyszłość, jaką pod kierunkiem bohaterskiej klasy robotniczej i jej partii oraz ukochanego Przywódcy Narodu toczy nasz naród w okresie Planu 6-letniego.

I nie zastanawiając się po okresie wyborczym, okresie wyjątkowej pracy produkcyjnej i polityczno-wychowawczej pragną dziś setki tysięcy członków Komitetów Frontu Narodowego, miliony partyjnych i bezpartyjnych agitatorów, dziesiątki milionów świadomych bohaterów. Pragną nowych bitew o przyspieszenie realizacji naszych planów gospodarczych, o umocnienie siły i obronności naszego państwa, o wszechstronny rozwój kultury narodowej, o w-

mocnienie więzów przyjaźni, jakie nas łączą w walce o pokój z narodami Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej, z milionami ludzi pracy w krajach kapitalistycznych — o rychłe wykonanie każdego punktu programu wyborczego Frontu Narodowego. I nie tylko pragną tych nowych bitew, ale już je rozpoczęli.

Trwają już bowiem w całym kraju przygotowania do miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej, który w roku obecnym, roku XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, otwierającym nowe perspektywy rozwoju dla całej ludzkości nie tylko dla narodów radzieckich — przyczyni się do dalszego pogłębienia przyjaźni między obu narodami, udostępnienia jeszcze szerszej osiągnięcia i cenne doświadczenia Kraju Zwycięskiego Socjalizmu naszemu narodowi budującemu socjalizm.

Rozszerza się i pogłębia w całym kraju wyjątkowa walka o utrzymanie przyspieszonego rozwoju przemysłu, głównej dźwigni rozwoju gospodarstwa narodowego, tak, aby stworzyć mocną podstawę dla przedterminowego wykonania wielkiego Planu 6-letniego, i wcześniej niż w roku 1955 rozpocząć realizację pierwszej naszej 5-latki.

Toczy się w całym kraju z rosnącym nasileniem walka o przyspieszenie rozwoju rolnictwa o jego przebudowę, w celu utrzymania właściwych proporcji w rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarstwa narodowego o wykonanie przez wszystkie powiaty, wszystkie gminy i wszystkie gromady tych zadań, jakie nałożył na rolnictwo polskie trudny i napięty plan gospodarczy roku 1952.

Zbliża się ważny w życiu wsi moment wyborów do gminnych rad kontroli i komitetów członkowskich przy gminnych spółdzielniach Samopomocy Chłopskiej — a więc batalia o dalsze umocnienie i rozwinięcie handlu ze wsią, jako jednej z głównych dźwigni umocnienia spójni między miastem a wsią.

Rozpoczęły się w całym kraju prace mające na celu ulepszenie i dostosowanie do nowych zadań podziału administracyjnego naszego kraju, stanęła bowiem przed nami sprawa podziału niemal ilości gmin wiejskich i powiatów, dla umocnienia i rozszerzenia więzi między władzą ludową a masami pracującymi, dla dalszego umocnienia ludowładztwa w Polsce.

Nie zastają nas te sprawy, które przynosi końcowy etap realizacji planu na rok 1952, nie przygotowanymi. Wysłaliśmy bowiem z wielkiej kampanii wyborczej nie tylko zwycięsko ale i lepiej uzbrojeni niż kiedykolwiek do przełamywania trudności, z jakimi borykamy się w codziennym życiu, z jakimi walczyć musimy na drodze do socjalizmu. Wyrosły w tej walce nowe kadry, zacieśniła się więź między przodującą klasą robotniczą a masami ludowymi, wzrósł autorytet Partii. Powstała w postaci Frontu Narodowego wielka organizacja wszystkich uczących i patriotycznych sił w narodzie. I w tej organizacji, w szeregach Frontu Narodowego pójdziemy do nowych zwycięstw.

Stanisław Cieślak

GEORGE BIDWELL

Afryka Południowa w walce z Herrenvolkiem

Zgromadzenie Ogólne ONZ ma rozpatrzyć sprawę przesładowań rasowych w Unii Południowej - Afrykańskiej.

N A pokładzie transportowca wojkowego wpłynęła latem 1942 do przystani w Cape Town. Wielki kompleks budynków, w tej liczbie gmach parlamentu Unii Południowej - Afrykańskiej, wyglądał z daleka jak zabawki dziecięce rozsypane u stóp Góry Stołowej, najwyższego szczytu w łańcuchu stromych wzgórz ciągnących się wąskim pasem wzdłuż całego wybrzeża kraju. Poza tym pasem wznosiły się rozległe płaskowyże, sięgające na znacznej przestrzeni 1.300 metrów n.p.m. Wystrzelała z nich szereg szczytów wysokich na z górą 3.000 m. Tylko na północ - wschodzie nad rzeką Limpopo płaskowyż przechodził w nizinę. Płaskowyż porastały głównie trawy, i krzaczaste zarośla. Mała ilość opadów nie sprzyjała powstawaniu lasów. Ale wyniosłe góry i malownicze doliny w połączeniu z mocnym, podzwrotnikowym kolorytem zieleni mają w sobie surowy nieco mieniący i piękny.

Nasze przybycie do Unii zbiegło się niemal z zajęciem przez hitlerowską Afrikę - Korpsu Tobruku - na drugim krańcu kontynentu, o 8.000 km. stąd. Dowódcą Tobruku był południowo - afrykański generał - Klopfer - i obywateli Unii rumienieli się na wiadomość, że tylko południowo - afrykańskim jednostkom kazało złożyć broń, podczas gdy oddziały polskie i australijskie przebiły się w walce przez pierścionki wroga. Rumienili się również na wiadomość, że dowódca półn. afrykański, którego obowiązkiem było nakazać zniszczenie składów broni i amunicji w Tobruku rozkazał takiego nie wydać. Zadawano sobie pytanie dlaczego - lecz nie doszukiwano się jakichś głębszych, a złośliwych krad. Dziś, gdy biali władcy Unii pograżają kraj w przepaść zupełnego faszyzmu, tamta operacja ukazuje się w nowym, a pomyślnym świetle.

Rektor uniwersytetu w Witwatersrand, mówiąc w kwietniu 1946 o panującej w Unii kście białych, wyraził się: „Mówiąc bez osłonek - jest to mentalność Herrenvolku. Naszą postawę i nasze stosunki z Europejczykami i nie-Europejczykami opieramy na różnych założeniach etnicznych. Cierpiemy jako naród na chorobę, którą Plato nazwałby „kłamstwem duszy”.

Owa mentalność Herrenvolku, owo kłamstwo duszy wykroczyło do Unii z zewnątrz wraz z osadnikami z nad Zuideer Zee i z wysp brytyjskich.

„Kraj ten jest krajem białego człowieka” wykrzykuje 78-letni sfałszowany faszysta premier Daniel François Malan „i takim z naszej woli pozostanie”. Co do tego ostatniego twierdzenia ma jednak odmienny pogląd właściwa ludność afrykańska. A teza pierwsza jest ignorowaniem rzeczywistości w kraju, zamieszkałym przez 8 milionów czarnych i brunatnych Afrykanów, 350 tysięcy Indian, 1 milion tubylców o domieszcze krwi malańskiej i holenderskiej i zaledwie 2 i pół miliona białych. Mimo okrzyków Malana Afryka Południowa jest krajem człowieka ciemnoskórego i jest on zdecydowany na ostateczne wyzwanie imperialistycznym intruzom.

Ci ostatni nigdy nie użyliły jednej myśli sprawom narodu afrykańskiego. Badacze i podróżnicy przybywali tu w poszukiwaniu przygód, rozgłosu i sławy; misjonarze - dla religijnych podbojów na rzecz swoich organizacji kościelnych; przedsiębiorcy i kupcy - w poszukiwaniu szybkiego i dużych zysków. Osadnicy z Europy myśleli w kategoriach poprawy poziomu życia, ziemi do zajęcia i taniej robotnicy. Przedstawiciele rządu rozpatrywali Afrikę Południową jako źródło surowców, tere-

ny emigracyjne, bazy strategiczne, imperialny węzeł komunikacyjny i rezerwa mięsa armatniego. Lecz nikt nie widział tam narodu, co poza wszystkim było wielkim błędem, gdyż 8 milionów Afrykanów Unii to żywa cząstka 200 milionów rozsiadłych po całym kontynencie Afryki.

Gdy w roku 1870 odkryto w Kimberley i Johannesburgu największe w świecie złoża diamentów i złota, żadne dobro nie spłynęło stąd na lud afrykański. Zaciekle imperialista Cecil Rhodes, finansista angielski Barney Barnato i niemiecki Alfred Beit zmnożali w swym ręku całą produkcję diamentów w Unii, a po paru latach i całą produkcję złota. W ciałach ustawodawczych i w administracji Transvaalu i Wolnego Państwa Oranje starli się z Burami, potomkami farmerów holenderskich, którzy zwalczając wrogie konkurentów uderzali w nich wysokimi podatkami. W 1900 r. rzucano przeciw Burów wojska brytyjskie, które poniosły straszliwe klęski pod Ladysmith, Kimberley i Mafekingiem. Imperialiści ścili się niszczyć domy Burów i zapędzając ich kobiety i dzieci do pierwszych znanych w historii obozów koncentracyjnych, gdzie tysiące ich marły z chorób i wycieńczenia.

W 1902 r. imperialistyczny rywal doszł do porozumienia dla wspólnego wysiłku ciemnoskórą większość. Nie wytyczył jej, jak to czyniono gdzie indziej, ale wyzuli ze wszystkich. Imperialiści burscy potrzebowali niewolniczej siły robotczej na swych farmach, brytyjcy - w swych kopalniach. Tak Burowie weszli w zacierany kraj brytyjskiego imperium współdziałając w rasistowskim uciśku 4/5 mieszkańców Afryki Południowej w imię „organizowanej wolności”.

Rządzący wszechwładnie imperialiści sprowadzali odtąd z W. Brytanii emigrantów głównie do funkcji administracyjnych i fachowych w kopalniach, przemyśle oraz zarządzie kraju. Prace ciężkie pozostawiano ludności miejscowej. Dla zachęcenia przybyszów musiano im zapewnić warunki życia dogodniejsze niż w Anglii.

Koszty tego wyższego poziomu życia ponoszą Afrykanie. Każda rodzina imigrantów angielskich zatrudnia afrykańską służbę domową, przy czym nędzna bardzo płaca wynosi 10 szylingów tygodniowo. Do obowiązków służby należy gotowanie, sprzątanie, opieka nad dziećmi - ale nie wolno im wchodzić razem z dziećmi do tego samego przedziału w pociągu, czy autobusie. Wielu robotników przybyłych tu z Anglii powraca po kilku miesiącach, gdyż nie mogą pogodzić się z tą metodą traktowania Afrykanów przez białych chłebodawców.

W Johannesburgu obowiązują godziną policyjną: po 9 wieczór żaden Afrykanin bez specjalnej przepustki nie może wychodzić z domu. Afrykańscy studenci medycyny muszą podpisywać uroczyste zobowiązania, że nie będą leczyci Europejczyków, 90 lat temu Kolonia Przylądkowa przyznała ludności miejscowej te same prawa wyborcze, jakie mieli Europejczycy. Rząd Malana prawa te uchylł wprowadzając kurie tu bylejaką, która jednak wybierać może tylko białych. Celem tego było utrwalenie faszystowskiej większości w rządzie Unii. Nic dziwnego, że pewien reemigrant brytyjski podsumował to niedawno w ten sposób: „W Afryce Południowej można wytrzymać, tylko, jeśli się nigdy nie spojrzy na życie ocyzma czarnego człowieka i nigdy nie zatroszczy się zbytnio o poczucie godności ludzkiej”.

Godność ludzka! Trudno znaleźć dla niej miejsce w warunkach życia ludności wiejskiej w rezerwach tubylczych Wolnego Państwa Oranje. Długie lany dobrujej uprawnej ziemi przecinają strumienie, otaczają lasy. Ale chatki Afrykanów stłoczone tu tysiącami, tak że kraj zatrac

nawet swój wiejski charakter. Najszczęśliwsi mają po 2 ha na rodzinę, bardzo wielu nie ma wcale ziemi. Rezerwy zajmują tylko 13 proc. terenów uprawnych Afryki Południowej, ale mieszka w nich połowa ludności wiejskiej - 3 miliony Afrykanów. Toteż zaledwie połowa dzieci afrykańskich dożywa wieku późniejszego niż lat 16. W roku 1946 Rada Planowania Społecznego i Gospodarczego stwierdziła, że „rezerwy tubylcze w obecnych warunkach nie są zdolne zapewnić nawet minimum egzystencji”.

Nie jednak nie uczyniono w kierunku poprawy i zupełnie świadomie. Rezerwy zawsze służyły za źródło taniej robotnicy dla kopalni. Afrykanów obłożono podługim i szeregiem innych podatków, aby zmusić ich do pracy w kopalniach dla zdobycia niezbędnych kwot.

Natomiast majątki Europejczyków zajmują po kilka tysięcy ha, dwory otoczone gajami cyprysów i eukaliptusów leżą w znacznej odległości od siebie. Ale ich właściciele w pogoni za zyskiem starają się wycisnąć wszystko z ziemi i taniej robotnicy, nie robią nakładów i wyczerpują glebę. Inspektor rządowy, dr. „Rijn Smit pisał w 1943 r.: „Oparte na robotniczym gospodarstwie rolne są typowym przykładem świadomego niszczenia bogactwa kraju. Na wielkich obszarach nie już nie pozostało z tego, co niedys zadowalało żywnością”.

W zagłębiu kopalnianym Randu (Witwatersrand pod Johannesburgem) przebywa stale 300 do 350 tysięcy robotników afrykańskich. Otrzymują przeciętnie nieco ponad 2 szylingi dziennie i zarabiają po 50 milionów funtów szterlingów rocznie dla akcjonariuszy kopalń złota. Gdy w 1946 r. zastrajkowali żądając lepszych plac i warunków pracy, zapędzono ich do kopalni przy pomocy palek policyjnych - było wielu zabitych i setki aresztowanych.

Afryka Południowa ma pomyślnie warunki dla szybkiego rozwoju przemysłu: łatwo dostępne i znaczne zasoby dobrego węgla, rudy żelaznej i innych kopalni. Ale w 1948 r. przemysł dostarczał zaledwie ponad 2 proc. dochodu narodowego zatrudniając 558 000 Afrykanów i około 200 000 białych. Zarobki czarnego robotnika wynoszą czwartą część płacy Europejczyka. „Przodująca cywilizacja” Malana nie chce zrozumieć nawet tego, że uprzemysłowienie wymaga traktowania robotnika jako istoty o jakichś ludzkich potrzebach.

W dzielnicy Moroka na przedmieściu Johannesburga mieszka 40 000 robotników. Wygląd Moroka ściśle odpowiada kolonii niemieckiej w Rosji carskiej tak przejmującą opisaną przez Gorkiego: stos skrzyń, blaszanek, wszelakich odpadków i polamanych desek, zwalony na kupę u stóp wzgórza. A tak samo wygląda każda dzielnica robotnicza na skrajach wielkich miast Unii. Widziałem pod Cape Town takie właśnie osiedle Afrykanów i osiedle Hindusów pod Durbanem.

Rodzina ma wydzieloną sobie przestrzeń 6 m. kw., za co płaci 10 szylingów miesięcznie i gdzie musi zbudować swe domostwo - szalas, lepiankę, czy wprost rodzaj budki. Jeden ustep przypada na 200-300 osób, jeden kran z wodą na 500. Brak jest wszelkiego oświetlenia, ale całą dzielnicę otacza drut kolczasty tworząc z niej rodzaj obozu koncentracyjnego.

W Moroka 18 000 dzieci nie ma możliwości chodzenia do szkoły. Roczna śmiertelność gruźlicy u „krajowych” wynosi 8 na tysiąc. Basil Davidson, publicysta angielski, który niedawno zwiedzał Afrykę Południową, pisze: „Mówiąc otwarcie dzielnice krajowców są siedliskiem chorób i rozpacz, jakich nie ma bodaj nigdzie na świecie”.

Davidson nie miał racji pisząc o „rozpaczy”. Świadczy o tym Kampania Sprzeciwu, jaką podjął naród

afrykański 26 lipca br., po raz pierwszy w historii współdziałając ściśle z innymi społecznościami nieuropejskimi. Lud afrykański głodzony, ciemniony i wyciskany ponad wszelką miarę wyczerpał swą cierpliwość.

Malan, którego rząd doszedł do władzy w 1948 r., zawiesił czasopismo afrykańskie „The Guardian”, odebrał prawa wyborcze, wprowadził ustawę „o seiganiu komunizmu” używaną przeciw wszystkim postępowcom i przywódcom robotniczym, ignoruje orzeczenie sądu uznające niekonstytucyjność tej ustawy i ogłosił komitet partyjny swego stronnictwa za najwęższą instancję sądową kraju. W poczynaniach rasistowskich popiera go biała opozycja chcąc uniknąć nawet pozoru sympatii dla Afrykanów. Popiera go również Wall Street, odkąd koncern inwestycyjny American - Transvaal nabył poważne udziały w ponad stu przedsiębiorstwach Unii. Malan stawia się na Waszyngton, który bardziej sprzyja jego faszystowskiej polityce niż Londyn. Jest to jeszcze jeden przykład sprzeczności między imperializmami. W Brytanii ma szereg kolonii w Afryce i nawet rząd Churchilla musi o tym pamiętać.

Wzywając wszystkich nie-Europejczyków do udziału w Kampanii Sprzeciwu Moses Kotane, jeden z przywódców Narodowego Kongresu Afrykańskiego pisał 19. VI. 1952 r.: „Walka ta nie jest tylko sporem partyjnym, czy drobną polityczną sprzeczką. Chodzi o podstawowe zagadnienie przyszłości naszego kraju, o to, czy mamy żyć w wolności czy w niewoli. Nikt nie może pozostać na uboczu”.

Uczestnicy Kampanii nie stawiają sobie żadnych ograniczonych celów. Dążą do zdobycia pełnej równości praw. Afrykanie zaś całego kontynentu - w liczbie 200 milionów - uważają Kampanię za czołową akcję na zasadzie wyższości białych. Kampania objęła dotychczas przepisy dotyczące godzin policyjnych, przepustek wszelkiego rodzaju oraz segregacji w pociągach, autobusach i na poczcie.

Żołnierze Kampanii nie nieuciekają się do gwałtów. Uczestnicy nie opierają się aresztowaniu. We wszystkich miastach Unii biorą ochotniczo udział w akcji tysiące ludzi: robotnicy i robotnice, prawnicy, lekarze, nauczyciele, duchowni, handlowcy, studenci, członkowie organizacji młodzieżowych, kulturalnych i innych. Wszyscy odmawiają płacenia grzywny, gdyż byłoby to równoznaczne z uznaniem swej winy, i skazywaniu się na areszt od 2 do 6 tygodni. Choć w większości wypadków oznacza to dla rodzin utratę mieszkania, w ciągu 3 miesięcy, do końca września br., 5 000 osób świadomie narażło się na więzienie.

Policia, operując zarzutem zdrady, przemocy i komunizmu, dokonała niedawno najeżdża na biura i mieszkania przywódców Kampanii. 20 z nich aresztowano, w tej liczbie prezesa Narodowego Kongresu Afrykańskiego, dr. J. S. Moroka i prezesa Kongresu Hinduskich Afryki Południowej, dr. Y. M. Dadoo, i pociągnięto do odpowiedzialności na mocy ustawy „o seiganiu komunizmu”. Ostatnio policja napadła na grupę 300 osób czekających spokojnie na wyprowadzenie z sądu uwięzionych towarzyszy. Poszły w ruch pałki gumowe i kastety, bito i kopano leżących na ziemi. Ale ruch oporu tylko się wzmacnia na skutek takich napadów.

Walka ma wyraźnie antyfaszystowski charakter. Jest to walka z rasizmem, walka z systemem kolonialnym białego człowieka. Na ścianach domów, na murach, na piasku i mule widnieją wszędzie napisy: Afryka dla Afrykanów! Obey, wracajcie do siebie! A ogień ten, który żarzy się już tak mocno w Afryce Południowej, tli się na całym kontynencie - w Sudanie, w Egipcie, w Tunisie, Algierze, Maroku. Tli się tam wszędzie, gdzie biali imperialiści usiłują zdławić słusne i niezwalczone wolanie narodów o niepodległość, postępek i pokój. I każdej chwili w każdym z tych krajów lub we wszystkich naraz wybuchnąć może wielkim, nieugaszonym płomieniem.

George Bidwell

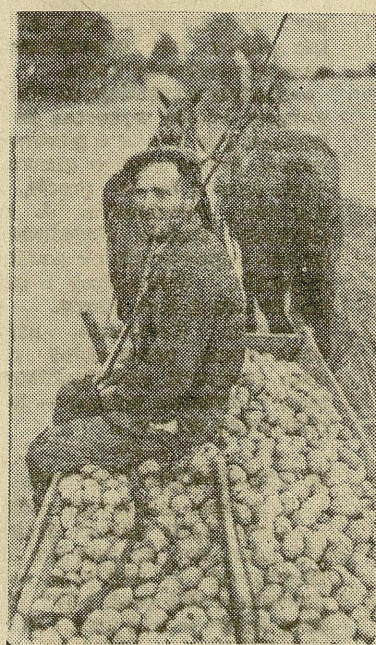


Foto: J. K. Maciejewski

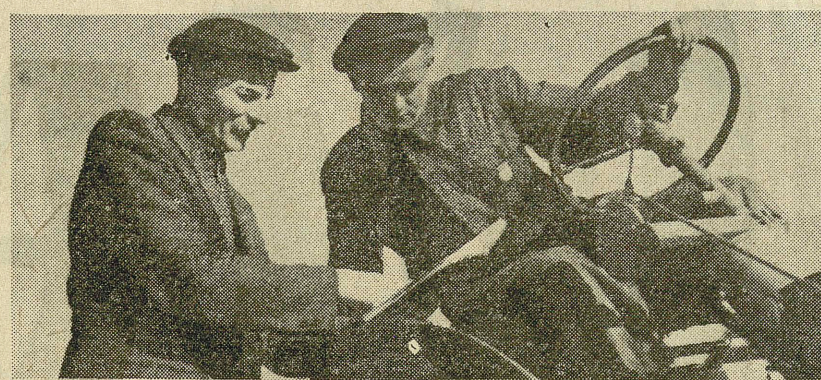


Foto - CAF

WOJCIECH ŚCIBOR

NASZA DUMA

MAMY obecnie w kraju już blisko 4500 spółdzielni produkcyjnych, znaczna bowiem liczba spółdzielni powstała na tej ogromnej fali ożywienia politycznego i gospodarczego życia kraju, jaką był okres wyborów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Radosny to fakt, że już przeciętnie w co dziewiątej wsi w Polsce płoną ogniska nowego, lepszego życia, tym radośniejszy, że uczywie i ciężko zapracowany.

Spółdzielnie produkcyjne nie rodzą się bowiem jak grzyby po deszczu. O założenie każdej z nich toczy się ciężka i trudna walka z wrogiem klasowym. Przy założeniu każdej z nich trzeba było wiele napracować, aby rozbić te zastarzałe skurcze kapitalistycznego sposobu myślenia i gospodarowania, która tak ciężko jeszcze na całym naszym pokoleniu, urodzonym przeciw i wychowywanym w ustroju kapitalistycznym.

Mimo że w ciągu ostatnich czterech miesięcy powstało ponad 1100 spółdzielni, jest ich na nasze potrzeby i na nasze możliwości wciąż jeszcze za mało.

Dlaczego za mało? Ogromne rozdrobnienie naszego rolnictwa jest bowiem kłódą u nogi szybko rozwijającego się naszego gospodarstwa narodowego, hamuje jego postęp, utrudnia zaspokojenie w całej pełni tych siuszych potrzeb społecznych, które tak szybko rosną w warunkach swobodnego życia narodu, uwolnionego z podwójnej niewoli zagranicznego i krajowego kapitalizmu.

Na obecnym obszarze naszego państwa było przed wojną 2.200 tysięcy gospodarstw rolnych. Reforma rolna i osadnictwo na Zachodzie podniosło tę liczbę do 3.200 tysięcy gospodarstw. Gospodarka drobnotowarowa, która zwyciężyła w rolnictwie z chwilą zdobycia władzy przez masy ludowe przy wszystkich swoich ogromnych walorach ma dwie zasadnicze wady: niezdolność do rozszerzonej produkcji i niską towarowość. Obie można w warunkach władzy ludowej nieco złagodzić, ale bez gruntownej przebudowy rolnictwa i wprowadzenia gospodarstw wielkich (a więc wysokotowarowych) i socjalistycznych (a więc zdolnych do reprodukcji rozszerzonej), nie można tych wad usunąć.

Państwo Ludowe przekazało w latach 1946 - 1950 ze środków ogólnopństwowych na wsparcie naszego rolnictwa ogromną sumę ponad 1423 milionów złotych dziśszych i przy rosnącej aktywności mas pracującego chłopstwa mimo zniszczeń wojennych, mimo zmniejszenia ludności rolniczej o 46 proc., doprowadziło do tego, że rolnictwo nasze daje dziś z mniejszego niż przed wojną obszaru uprawy produkcję globalną równą przedwojenną.

Ale taka produkcja jest już na nasze obecne potrzeby zupełnie niezadawalająca. Tym bardziej, że w parze ze wzrostem produkcji rolniej w latach 1946 - 1952 nie idzie wzrost towarowości rolnictwa. Ogromnie bowiem co najmniej dwukrotnie wzrosło spożycie własne wsi, zwłaszcza w grupie artykułów najbardziej wartościowych: mięsa, mleka, jaj, tłuszczu, owoców, tak, że obecna przeciętna towarowość gospodarstw chłopskich w Polsce wynosi przeciętnie 26 - 28 proc. ich globalnej produkcji. Byłoby jednak błędem uważać, że już wszystkie rezerwy rolnictwa w naszym kraju zostały wyczerpane, ale przecież nam w najbliższym dziesięcioleciu potrzebny jest co najmniej dwukrotny wzrost towarowości naszego rolnictwa, a tego bez jego przebudowy osiągnąć się nie da.

Towarowość bowiem w granicach 40 - 50 proc. globalnej produkcji jest do osiągnięcia dopiero w wielkich gospodarstwach rolnych.

Nie stać nas dłużej w naszych warunkach na takie marnotrawstwo sił i pracy ludzkiej, z jakim mamy do czynienia w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich. Przecież chłop nie pracując nieraz mniej od robotników przemysłowych czy rolnych, a jakież są efekty ich pracy? Weźmy np. rok 1950. Praca jednego robotnika przemysłowego dała w tym roku krajowej produkcji wartości przeszło 11 tysięcy złotych (w cenach niezmienionych), praca zaś w ciągu roku jednego robotnika PGR - produkując wartości ok. 2700 zł., podczas gdy praca drobnego lub średniego rolnika dała krajowej produkcji wartości tylko ok. 1800 zł.

Wyniki więc produkcyjne drobnego i średniego rolnika były blisko sześciokrotnie niższe od wyników pracy robotnika przemysłowego, a półtora razy niższe od wyników pracy robotnika w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Ta róż-

nica ulega dalszemu pogłębianiu. Weźmy rok obecny, 1952. Odpłynęło z rolnictwa w ciągu ostatnich dwóch lat sporo ludzi do pracy w zawodach pozarolniczych, pozostała zaś ludność rolnicza dała produkcję znacznie większą od produkcji rolnej 1950 roku. Tak, że na jednego pracującego w rolnictwie indywidualnym wartości produkcji tegorocznej nie będzie niższa niż około 2300 zł. (w cenach niezmienionych). Ale spodziewamy się, że nasze rolnictwo socjalistyczne (PGR i spółdzielnie produkcyjne) dadzą nam do końca roku produkcję co najmniej wartości ok. 4200 zł. na jednego pracownika a przemysł produkcję blisko 15 tysięcy złotych na jednego pracownika w ciągu roku. Stosunek więc wartości pracy rolnika indywidualnego, robotnika PGR lub spółdzielcy, robotnika przemysłowego wygląda już dziś jak 1:2:8.

Nie stać nas również na dalsze marnotrawstwo w wykorzystaniu ziemi - głównego środka produkcji w rolnictwie. Bo między i szachownicę pół, mały obszar poszczególnych upraw uniemożliwia przecież przeprowadzenie gruntownych melioracji i właściwego płodozmiannu - tych podstawowych warunków kulturalnego i wysoko wydajnego gospodarstwa. W dodatku drobne gospodarstwo na skutek swojej nieracjonalnej organizacji pracy wytwórczej zatrzymuje nadmierną liczbę rąk robotycznych na wsi, hamując przez to możliwości rozwoju przemysłu, głównej dzwigni naszego rozwoju. Przecież już dziś nie gdzie indziej, a w województwie krakowskim, gdzie siedzi jeszcze ponad 100 osób na 100 ha użytków rolnych, słyszy się narzekania na brak siły robotczej na wsi. Obserwuje się ucieczkę od upraw pracochłonnych, a przecież blisko 2/3 liczbę obecnie zatrudnionych w rolnictwie woj. krakowskiego rąk do pracy mogłoby bez przeszkody, bez żadnej obawy o stabilizację produkcji rolnej, odpłynąć w warunkach zespolowej spoldarki do zajęć pozarolniczych.

Tak więc stare stosunki produkcji uniemożliwiają nam olbrzymie, utajone siły wytwórcze, których wykorzystanie pozwoliłoby na usunięcie znacznej części odziedziczonego po kapitalistach zacofania naszego kraju. Ale wykorzystanie ich możliwe jest jednak jedynie na bazie socjalistycznej przebudowy rolnictwa.

Jak pokazał przykład 1951 roku drobne gospodarstwa chłopskie nie mogą skutecznie walczyć z żywiołowymi siłami przyrody, zwłaszcza z często występującą posuchą jak również z niezbyt korzystnym rozkładem opadów atmosferycznych, tymi dotkliwymi wadami naszego klimatu.

Wroćmy wreszcie jeszcze raz do sprawy towarowości. Już w roku 1950 PGR i spółdzielnie produkcyjne zatrudniające zaledwie 4,5 proc. ogółu zatrudnionych w rolnictwie, dają 7,6 proc. towarowej produkcji rolnictwa, w tym 17 proc. żyta, 20 proc. pszenicy, 12 proc. mięsa, itp. W roku 1951 socjalistyczne gospodarstwa rolne zajmujące około 12 proc. użytków rolnych w Polsce, dały ponad 1/4 całego towarowego zboża w Polsce. W tym roku spodziewamy się, że wartość towarowej produkcji PGR i spółdzielni produkcyjnych w przeliczeniu na jednego zatrudnionego wyniesie co najmniej 10 tys. złotych (licząc wg państwowych cen skupu), podczas gdy wartość produktów sprzedanych przez indywidualnego rolnika w ciągu całego roku nie wyniesie więcej niż około 3700 zł. (licząc według państwowych cen skupu).

Dostateczne zaopatrzenie naszego przemysłu w surowce pochodzenia rolniczego, obfitość żywności w miastach i na wsi zapewnić może w całej pełni dopiero zwycięstwo socjalistycznej gospodarki w rolnictwie. Dlatego walka o przyspieszenie przebudowy naszego rolnictwa, przy zachowaniu rzecz jasna i ścisłym przestrzeganiu zasady dobrowolności, staje się jednym z najważniejszych obowiązków państwowych każdego świadomego obywatela naszego kraju.

Mamy już silny park maszynowy, coraz lepiej pracuje nasza państwowa służba agronomiczna, zrozumienie potrzeby i korzyści z przebudowy rolnictwa przenika coraz szerzej jednak do podstawowych mas chłopskich. Istnieją więc wszystkie warunki niezbędne do tego, aby na koniec roku liczba spółdzielni produkcyjnych znacznie wzrosła. Ale pomiędzy możliwościami i rzeczywistością istnieje przepaść, którą wypełnić może tylko usilna, ofiarna praca całego aktywnego rolnictwa, który powinien pamiętać, że w pracy na wsi z pomocą wszystkich pilnych, ważnych i wielkich spraw, ta sprawa, sprawa przebudowy naszego rolnictwa, jest sprawą najpilniejszą, największą i najważniejszą.

Wojciech Ścibor

A. SKIBA

WYROK BEZ ODWOŁANIA

PAMIETAMY wszyscy wiosnę 1945. Czerwone sztandary na gruzach Kancelarii Rzeszy wisieły ludzom rozgromione faszyzmu. Wziętnowie wychodzili na stołce, rodziny wracały do domów, młoda zielen brawa nadziei pokrywała dymiące jeszcze zgliszcz. W San Francisco zakładano fundament nowej organizacji trwałego pokoju. Z otuchą patrzyli w przyszłość narody świata - wszystkie bez wyjątku.

Minęło siedem lat. Znad pobożowskiej Korei wznosi się czarna chmura. Upiór wojny obiega kulę ziemi. Grozi uwarunkiem do domu każdego człowieka, niesie zagładę narodom całego świata - wszystkim bez wyjątku.

Jedna klasa, nieliczna i spodłata, a w jednym tylko narodzie - do czasu - uszczelniona, przywołuje krwawego upiora, chce przy jego pomocy podbić i użłamać narody całego świata - wszystkie bez wyjątku.

Minęły jednak czasy bierności. Przeciwnym mocom wojny, przeciw potędze zniszczenia i śmierci powstaje siła jeszcze potężniejsza: jednoczą się w walce o pokój narody całego świata - wszystkie bez wyjątku.

Wyrazem, narzędziem, wcieleniem tej walki są Kongresy Pokoju, pibiscy, apele noszące podpisy setek milionów. Wyrazem, wcieleniem, narzędziem tej walki nie jest - wbrew swemu przeznaczeniu - oficjalna instytucja międzynarodowa: Organizacja Narodów Zjednoczonych. Bo choć do życia powołata jej powszechna wola pokoju - imperializm, zrodzony pod znakiem wojny, zagarnął ONZ w pacht monopolu. Krótkie, a pełne wstydu były dotychczasowe jej dzieje. Fałdami błękitnej chorągwi owinięto narzędzia ludobójstwa; smutny Falstaff, sekretarz generalny, stempluje pięknym godłem rozkazy agresorów, zatwierdza je maszyną, w jaką przerobiono „parlament świata”.

W New Jorku po raz siódmy obraduje Ogólne Zgromadzenie ONZ. Wniosek polski postawił sprawę wojny i pokoju w centrum debaty. Zaciął się amerykański automat. Departament Stanu nie może skłonić żadnego ze swych satelitów do zabrania głosu w obronie agresji. Słowo POKÓJ rozbrzmiewa na całym świecie w chwili, gdy zapada decyzja, kto w ciągu najbliższych lat czterech stać będzie na czele dyktatury burżuazyjnej, rządzącej w USA.

Imperializm rządzi Ameryką - imperializm nie jest wolą Ameryki. Monopole zdławiały ją, ale nie złamały. I choć wybory prezydentkie są wyborów paradią, choć obywatelowi Stanów pozostały już tylko szatki praw obywatelskich, może on każdej chwili upomnieć się o całość. A wolanie o pokój jak serce wielkiego dzwonu uderza w najmocniejsze z jego uczuć, budzi najżywsze w nich echa.

Machinami wyborczymy oba reakcyjnych partii zaczęło brnąć tchu, ster kampanii wymykał się im z rąk. Zamurowano więc trybunę ONZ, terrorem zmuszono satelitów do postępu, odsunęto debatę ogólną, odrutowano ją znowu milczeniem, aby dzwon pokoju nie budził świadomości ogólnoludzkiej w dziedzinach Karty Praw.

Pod znakiem wojny rodzi się imperializm i nie było wówczas niko, kto wzniesłby karczący miecz. Dziś burzyciele świata stoją coraz bardziej samotni przed sadem opinii. Od jej wyroków nie da im odwieść. I bez odwołania wyda na siebie wyrok ONZ, jeśli wbrew woli narodów nadal będzie ciągnął tragiczny wóz wojny.

A. Skiba

26 października 1952 roku

WŁADYSŁAW JANICZEK

W GMINIE GROMNIK

C HCE Wam opisać jak się odbyły wybory w naszej gminie Gromnik (pow. Tarnów). W tarnowskim powiecie działali od 80 lat ub. wieku poczynając najpierw ksiądz Stojalowski, potem Stapiński, Witos i Bojko. Te tradycje mocno zaciążyły w naszych stronach. Były to tradycje niby walki a ugody, niby wyzwolenia a w gruncie rzeczy awansu między „starszych braci”, niby rewolucji a w rezultacie „nie” czas jeszcze w Polsce na rewolucję. Przewlekano, jatrzono, moralizowano, chłop potęgą jest i basta, niech żyje stan włościński itd. itd. Kolowano



Foto — CAF

chłopa i zwodzono. Toteż wśród przyjaciół psy zjadły. Jechał chłopina do Francji i za ocean, do Stanów Zjednoczonych, do Brazylii, usuwała mu się spod nogą moga za moga, płót kosze, robił szotki i mioty, szedł na rynek Tarnowa i Krakowa, aby się sprzedać jak było robocze. Kłął, płakał i znów się oglądał za kominem, z którego się kurzy, znów patrzył skąd wiatr wieje.

Nic też dziwnego, że obalamucenie, ten wiatr w głowie, nie mało chłopów jeszcze po wojnie wpędziło u nas w szeregi PSL-u.

Ale nowa Polska przestała być ojczyzną labidzenia i niespełnianych obietnic, zniszczyła dawną pożywkę dla wahań, niejasności i zaoferowania. Co tu dużo gadać. Chłop mały i średniorolny w naszej gminie stanął na nogi. Poczuł pod nim twardy grunt. Przemądrzała „ludowa” a puste gadanie zastąpił jasny i prosty rachunek: parcelacja. Ziemia Odyskane, przemysł, szkoły i uczelnie, która wreszcie spod nog nie ucieka i z której plon i dochody rosną z roku na rok. Pisałem niedawno, jak to u nas w latach 1949 — 51 przeciętna żółń podniosła się o 5 q. z hektara, obszar buraków cukrowych wzrósł trzykrotnie a wyda-

ność o 150 q., była przybyło dwukrotnie.

Największa, najbardziej zdumiewająca zmiana wyraziła się w tym, że nasz chłop z „rozpolitykowanego”, co próżno przelewał w pustę, stał się chłopem żarzącym pracującym. Sam dla siebie jako najlepszą odpowiedź postawił — pracę i czyn.

Ostatnie lata w tarnowskim powiecie, to wielka zbiorowa, dziesiątków tysięcy chłopów odpowiedź dana dawnej, ludowej tradycji, tej prawniczej zachowawczej, bez wyjścia. Tarnowski chłop dorwał się wreszcie do czynu.

Toteż, kiedy we wrześniu zaczął się początek kampanii wyborczej u nas nie po gadaniu a po faktach można było ocenić atmosferę. 152 proc. planu skupu zboża (rocznego 79 proc.), żywe — 143 proc. (za września). Chłopi sami chodzili do GS-u pytać, ile już mają zapisane i na ile jeszcze zalegają. Nie zdarzył się ani jeden wypadek zastosowania środków nadzwyczajnych. Na początku października zdawało się, że kontraktacja trzody chlewnej nie zda egzaminu (90 proc. rocznego planu), bo chłop na domowe potrzeby odliczył sobie tuczniaki ale nie, czyste sumienie, o tym u nas nie zapomnieli. Pokazali chłopcy, że dobrze mogą żyć i dać 56 tuczniaków ponad plan. Taką była agitacja nasza, od dołu idąca.

Muszę podkreślić siłę tego patriotycznego rozmachu. Nic jej nie potrafiło zahamować. A były przecież wypadki, że PRN w Tarnowie z dużym opóźnieniem rozpatrzyła prośby o obniżenie dostaw zboża. I taki np. Stefan Kros z Solanki, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, kupił i oddał pełny plan zboża. Inni też postąpili, bo czyste sumienie to sprawa pierwsza. Niech się teraz wstydzi Rada Powiatowa. Ma nadwyżkę od tych, którym winna była przyjąć na czas z obniżką. Były i inne pomysły, jak np. uznanie w Gminnej Radzie Karola Kwiekę w gromadzie Siemichów za przodującego chłopca, kiedy najlepiej ze swych obowiązków wywiązał się Wojciech Janiczek. On, to, chłop 61-letni, zorganizował zbiorową odstawę zboża, pierwszą w gminie, cały podatek spłacił już w sierpniu, zamiast 117 kg zboża oddał 500, zamiast 500 kg ziemniaków — 600, mleko i żywiec ponad plan. W gromadzie Golanek chłopci sami uprawili hektar odłogu, posiali i zakontraktowali wykę. 300 kg. ziarna uzyskali, a GS — po dziś dzień nie odebrał jeszcze tej „ponad planowej” produkcji. Wszystkie takie i tym podobne wypadki nie osłabiły patriotycznego rozmachu chłopów naszej gminy. Przecież my rzadzimy i za gospodarowanie w terenie odpowiadamy wspólnie.

Wieg też wybory wyglądały tak. Obwód nr. 79, Siedliska. Głosowała dwie gromady. Od samego rana

tłumy ludzi. O godz. 10-ej oddało już swój głos 65 proc. wyborców. Gromada Chojnik przyjechała razem na 40 furmankach. Pierwszy oddał tego dnia głos Stefan Bień, malarz. Tak to Tarnowskie odpowiedziało na dawną politykę kmieci — kulaków. Dom udekorowany, portrety Prezydenta Bieruta. Ludzie wystrojeni, uśmiechnięci. Członkowie ZSL-u w szeregach, prowadził ich prezes Wilk.

Obwód nr. 80, Siemichów. Tu najwcześniej, bo o 5 rano był już stary Kochan Jerzy i gromada dzieci. Punkt o 6 wóbec zebranego tłumu stary Kochan pierwszy oddał kartę: oddaje ją na szczęście i pomyślność Polski Ludowej! Wiwat, dzieci wręczają mu kwiaty. O godz. 9-ej oddaje manifestacyjnie swój głos ksiądz Julian Sidor. Radosny nastrój, o godzinie 12-tej 60 proc. głosów. W bucie GS-u pełno ludzi. Trzech sklepówich nie może nadążyć. Święto to przecież dla chłopów. O godz. 16-ej przyjeżdża zespół artystyczny z MPJK z Tarnowa. Muzyka gra. Wszyscy idą w tany. Nadjeżdża 80-letnia Kwiekowa z Siemichowa. Taniec przerwany, za to nie milną oklaski. Prowadzą staruszkę do lokalu.

Obwód nr. 81, Brzozowa. O godz. 14-ej głosowało już ponad 80 proc. wyborców. 87-letni Idzi Studziński przyszedł na piechotę — 7 km. — W takim dniu, jak nasze wybory, poszedłbym i dalej, bo głos mój dziś znaczy a przez 80 lat nie nie znaczył. Obyspano go kwiatami. Tego dnia w obwodzie nr. 81 górowali starcy. Pierwszą bowiem, która o 6 złożyła swój głos, była Elżbieta Tutaj, 80-letnia chłopka z Wróblowic. Przybyła z wnuczkami — na Polskę, na Matkę naszą, na jej dzieć, na moją spokojną starość! O godz. 20-ej głosowało już 98 proc. wyborców. To był dzień w naszej gminie taki, co przejdzie do historii i legendy.

Władysław Janiczek



Foto — CAF

LUDWIK MAJ

W GMINIE BYSTRA

U NAS na Podhalu ludziska pamiętają niejedne wybory.

Za Austrii — „obroncy chłopcy” nieraz kandydowali i byli „wybrańcami” na posłów, ale ci „posłowie” znali wieś z opowiadania ekonomicznych i karbowych. Wprawdzie w okresie przedwyborczym taki „chłopski kandydat” jak hrabia Czesław Lasocki ze Szybowic, właściciel dworów, otwierał stodoły i swoim naganiancom karbowi przydzielali bezpłatnie zboże, ale po wyborach chłopci musieli odrobić „pański gest”.

Za Polski międzywojennej wybory były ohydnyim targowiskiem. Wzajemne obrzucanie się najgorszymi świństwami, najordynarniejsza rywalizacja, przekupstwo, błaznowanie, reklamowanie i podnoszenie do sztandaru cnoty najbardziej zdeprawowanych ludzi.

Chłopi bałamućeni przez rozmaite plebany, endeckie stronnictwo, przez rozmaitego koloru „obronców” chłopskich spod znaku stronnictw „ludowych” zaczęli pomalu poznawać i rozeznawać interesy targowiczan, zaczęli tracić zaufanie do takich „obronców” którzy idąc do rentownych posad poselskich szafowali obietnicami.

Przypominam sobie wybory 1930 roku, jak do naszej gromady przyjechał jakiś ksiądz Madej, którego wieś wtedy pierwszy i ostatni raz uwidziała. Mnie się najbardziej przypominają błyszczące pierścienie na palcach, kiedy przed szkołą, gdzie urządził wieś, wymachiwał rękami, groząc piekłem tym, którzyby głosowali na 7-kę (Wyzwolenie) i przypominają mi się okrzyki naszych chłopów, którzy pytali się w jaki sposób dzielić zapalki na 6 części gdyż na 4 to za mało.

W 1935 roku do naszej wsi przyjechał poseł Fidelus z Zembrzyc, który z grupą kadzi — chłopów, kandydował do Sejmu, chłop na jego przemówienie odpowiedzieli gradem kamieni, co zmusiło posła, komisarza i kłidek do ucieczki. Prawda, że to „spotkanie” kandydata z chłopami zapłacił niejednym wyrokiem są-

dowym. A Polska zapłaciła za tę „hałasę” zdradźców wrześniem 1939.

Wybory w 1947 roku odbywały się w ostrej walce z reakcją mikołajczykową, w której to walce jeszcze część chłopów nie potrafiła w pełni rozpoznać prawdziwego oblicza tego „opiekuna” chłopskiego, ale wybory zadają drugą cios reakcji.

Nadeszły nowe wybory:

Nasza gmina Bystra mimo, że w połowie września jeszcze były żniwa nieukończone (do końca września się wlokły), że pora deszczu, trwającego do dziś, wstrzymywała omytą, przed wyborami w 90 proc. wykonała swój obowiązek. Te 90 proc. za trzy tygodnie, to olbrzymi wysiłek ze strony pracującego chłopstwa, odcenić mogą ci, którzy znają trudności terenowe Bystrej.

Co podołało pracującym chłopom do takiego wysiłku?

Wielka prawda Frontu Narodowego. Cel nowego życia w najbliższym 10-cioleciu.

Na odcinku gospodarczym w okresie przedwyborczym zadano poważny cios reakcji, która chciała wstrzymać wieś od udziału w wykonywaniu obowiązków. Niejedna grupa odstawia zboża i ziemniakiom zadawała kłam oszczerczym plotkom, podrywała innych do współzawodnictwa. Na wiadomość, że poszczególne gromady wysunęły na kandydatów Frontu Narodowego takich chłopów z Podhala, jak Jakuba Chudobę z Szafarowa, Górke Józefa z Lęka, Jana Wiktora ze Szczawnicy, tempo odstawy zboża podniosło się jeszcze bardziej.

A jakież uroczyste, budujące, patriotyczne spotkanie miały spotkać się chłopów z kandydatami na posłów.

Do naszej wioski przyjechał Józef Górka, prosty chłop, którego znano od dawna jako rzetelnego, ofiarnego obywatela, również przyjechał piosarz chłopski, Jan Wiktor, którego walka o godność chłopca i jego prawa do życia ludzkiego, znane są chłopom. Kiedy Wiktor odczytywał poszczególne fragmenty o życiu Polaków we Francji na obczyźnie, o ich piekle, niejedna łza potoczyła się po zorany brudami policzku, niejedna pięść zacisnęła się. Boć to okrucy przeszłego życia, wydartego z żywego ciała chłopca, który takie życie przeszedł.

Dzień 26 października pozostanie długo w naszej pamięci. Data ta będzie problemem czasu, bo w dniu tym Front Narodowy w naszej gminie odniósł decydujące zwycięstwo polityczne. Jak okres przedwyborczy był czasem zwycięstw gospodarczych to dzisiaj dzień publicznie w całej swojej sile okazał słusność naszej polityki.

Od godziny 6-ej rano na poszczególne gromady wędrowały grupowo, rodzinami, furmankami setki

pracujących chłopów do lokali wyborczych. W takim Osielcu, rodzinnej wiosce Piotra Wyrobka, około 200 chłopów przemaszerowało do lokalu wyborczego z transparentami.

Z gromady Wieprzec zorganizowali chłopcy barwny pochód do lokalu w Kojnowce. Starzy i młodzi, ramię przy ramieniu, śmigli górale z radością spełniali swój akt patriotyczny.

Do godziny 12-ej w Sidzinie, na której to gromadzie wróg skoncentrował wysiłek paraliżujący, około 70 proc. obywateli złożyło swoje

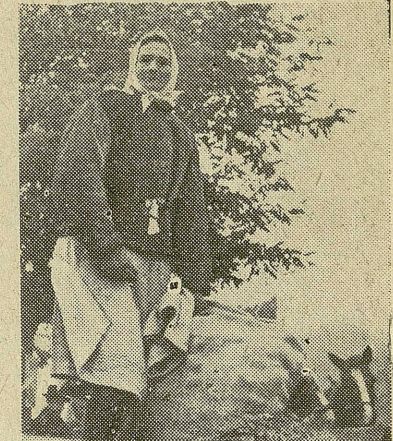


Foto — CAF

kartki na kandydatów Frontu Narodowego. W pierwszych godzinach popołudniowych reszta patriotów. Wzruszające momenty spotykało się w lokalach wyborczych, kiedy stary chłop, który niejedną gorzką i głodną wiosnę przeżył, który niejednokrotnie rzucił na wyższość wacy — szedł z kartką wyborczą i z nabożeństwem ją kładąc do urny wyborczej, mówił głośno: głosuję, bo moim wnukom lepiej będzie, nie tak jak mnie w dzieciństwie.

W tym uroczystym dniu 98 proc. obywateli naszej gminy wyraziło w wyborach siłę Frontu Narodowego, siłę kierującą Polską do szybszego marszu, do socjalizmu.

Dwa brakujące procenty to ci chłopcy, którzy głosowali w 1935 roku na sanację, gdy 98 proc. chłopów w tym czasie na wezwanie KPP wstrzymało się od głosowania. Dziś na wezwanie Ojczyzny Ludowej 98 proc. obywateli gminy Bystra świadomie idzie do lepszego życia. 26 października, to olbrzymie zwycięstwo pracujących chłopów, połączone z klasą robotniczą we wspólnym Frontie Narodowym. Głosowaliśmy za nową wsią, opartą o nową strukturę gospodarczą, która w tym wielkim planie (jaki realizujemy i w nowym 5-letnim, jaki będziemy wytyczać) przebuduje naszą wieś, nasze Podhale na Podhale socjalizmu!

Ludwik Maj

ANNA JACHNINA

TOMASZE — NIEDOWIARKI

G ROMADĘ Kipichy poznałem trzy lata temu. Pamiętam... jechaliśmy z Rypina. Stary las sosnowy, częściowo mieszaniny, o gęstym poszyciu i mrocznym wnętrzu urwał się po dziesięciu kilometrach i wzrok nie zatrzymał żadną wyniosłością, pobiegł po równinie, po wielkiej misie, wkrąg zamkniętej lasem. W tej misie, jak trzy bliźniacze siostry, tulili się do siebie trzy gromady. Wokoło zabudowań zagony piaszczystej ziemi, gdzie darzą się tylko ziemniaki i żytko. A dalej — mokrada pokryta sitowiem, turzycą i trzaskawicą, nad którymi unosiły się stada wodnego ptactwa. Smutek wiał od mokradła, smutek opłatał domostwa, kryjące niedostatek za pniami białych brzoź, za ukwieconymi koronami pękniętych wieniek.

Dla malarza byłby to „smętny, ale piękny krajobraz”. Dla rolnika była to bieleca poleśna — ostatni gatunek gleby. A te łąki? — Nieużytki.

Tak wyglądały Kipichy w roku 1950-tym.

W czasie okupacji było to ciężko. Chłopów wysyłano na roboty, a cały ten teren chcieli Niemcy załazić. Wielu gospodarzy zginęło na robotach i w obozach.

W roku 1951 do Mleczówki przyjechał meliorator. Zwołał zebranie i zaczął z chłopami gawędzić.

Biedne są wasze gromady. Gleba słaba, łąka jeszcze lichsza, a przecież badania Wojewódzkiego Zarządu „Wodno — Melioracyjnego” wykazały, że można te łąki zmeliorować, można je uprawiać, a tym samym radykalnie zmienić waszą gospodarkę. Państwo na ten cel przeznacza znaczne fundusze, daje fachowców, maszyny, nawozy i nasiona. A wy dacie swoją pomoc? To znaczy robocizną niefachową?

Patrzyli na niego niechętnie, chmurne twarze.

Do Kipich, do Mleczówki i Okalewka dochodziły wieści o tym, że rosną fabryki, że z gruzów wstają miasta. Ale w tej nieście pustkowi, zagubionego wśród lasów, piasków i bagien myślał chłop bardziej ospale i nieufnie. U nich przecież, jak dawniej fruwały nad mokradłami czajki, a krowa kale-

czyła język badiem ostrej, kwaśnej trawy.

Nie udało się prelekcja. Chłopi powysuwali się z sali cichcem, jeden po drugim, ale się nie rozeszli. Przenieśli się do stodoły sąsiada. Tu zaczęto obrady „na rozum”, na „pomysłunek”.

— Jak to on powiedział?... Tam, gdzie mokradło, gdzie łysina — będzie łąka?

Meliorant znał już takie wsie za lasami, za bagnami. Znał psychologię chłopów z głuszy. Te dziwne sprzeczność w myśleniu, które dopiero wówczas gotowe uwierzyć nowemu w kraju i dać się porwać w nurt ogólnych przemian. Kiedy u siebie namacalnie zobaczy zmianę. A zmiana na miejscu wydaje mu się znowu niemożliwa. I tak w kółko gotowi byli chłopci labidzić, ale... meliorant wlaź do stodoły i powiedział:

— Chcecie, uprawimy w tym roku 2 hektary łąki na próbę. A jeśli nie zależy wam na dobrym sianie — ja go będę od was dzierżawił.

Dwa hektary — nie dużo. Nie to ich jednak wzięło. Wzięło ich magiczne słowo „dzierżawił”. Jak meliorant chce dzierżawić, to już musi być pewny interes. Pomalutku, aby się nie pomał, że ich rozgrzał do melioracji, zaoferował pomoc w uprawie, ale sian... będzie „nasze”.

W ten sposób dali chłopci aprobatę na rozpoczęcie robót w Mleczówce. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Zazieleniła się młoda łąka, wybiły się spośród burych, wyleniałych pastwisk i stała się przysłowiowym kijem w mrowisku...

— Wiecie — opowiadał z humorem sołtys Filipski. — Nie chciałem wierzyć, że tutaj wyrośnie taka trawa. A kiedy wyrosła, myślę sobie, czy też naprawdę dobra — niech sama krowa odpowie. Narwałem naręcz i podaję krasuli. — Ludzie! Jak chwyciła, to razem z trawą przez płot mnie przeciągnęła.

W ślad za Mleczówką wystąpiły Kipichy z prośbą o zagospodarowanie łąk. Przyszedł traktor. Gospodarzy ogarnęła gorączka. Prędzej, prędzej, zaościć, zasieć... I tutaj, w Kipichach, tak jak w Mleczówce zorganizowano Zrzeszenie, łącząc wszystkie kawałki łąk w jeden wielki kompleks uprawowy.

Jeży się pole świeżo odwróconą skibą. A za traktorem, jak stado piaków, ciągną mieszkańcy Kipich, pomagają maszynę, odwracają darni, przyklepują, wygładzają, byle przed, byle przed... Dzień i noc warczał traktor w Kipichach, klucząc w ciemności światłem reflektora. Patrzy na robotę przedwiońcący Zrzeszenia i w oczach jego miga coś jakby zdumienie.



J. K. Maciejewski

Głęboko wciągnął w płuca ostre, wiosenne powietrze. Nowe płuć ku niemu z tej szerokiej, otwartej przestrzeni. Markowski sprząca, nie umie zdąć sobie z tego sprawy, ale czując podświadomie, że nad tą ziemią wywołaną od miedzi i granicy — nieświe jest jakiś swobodny, szeroki wiew.

Porwawszy Durszewicz, podozwany opowiada, że traktor podobno pojedzie na 2 dni do Mle-

cówki. Za Durszewiczem nadbiegło z pola jeszcze kilku gospodarzy. — Nie oddamy traktora! — wołają. — W Mleczówce już trawa rośnie, a u nas jeszcze czarno.

— Ja w stu procentach przekraczam plan kontraktacji. Staram się wywiązać ze wszystkich obowiązków wzorowo. I jakim wysiłkiem, niech sąsiedzi powiedzą — peroruje Markowski. — Po osiemnastu

— To są nasze krowy! — denerwuje się Markowski. — Zarzucił taką na plecy jak cielaka. Zebra mało skory nie przebiega.

Taką to rewolucję wywołał w Kipichach szmaragdowy pasek łąki, wijący się jak wstążka przez pole sąsiadów. Okalewek też nie pozostał w tyle. — Kiedy przyjdzie traktor, kiedy zaczniecie robotę — pytano stamtąd niecierpliwie. — Chcemy na łąkach wspólnie gospodarzyć.

Kończy się wrzesień 1952 roku. Pięknie wyglądają łąki trzech bliźniaczych gromad. Zieleni soczystej trawy sprawiła, że cały krajobraz mimo jesieni i mimo deszczu nie przytłacza jak ongiś smutkiem i melancholią. Żyje on życiem bujnej roślinności. Nad równiną wznoszą się przysadziste kopy siana. Tu i ówdzie gospodarze zbierają jeszcze ostatni pokos.

— Jak idzie robota? — pytam Antoniego Filipskiego.

— Dobrze idzie, dobrze. Ta trawa postawiła nas na nogi. Latos mieliśmy siana nie tylko dla siebie, ale mogliśmy je sprzedać.

— Wczorzem tego samego dnia u gospodarza Zalewskiego w Okalewku odbywa się zebranie. Nie jest to właściwie zebranie, a pogawędka. Przyjechał dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Wodno-Melioracyjnego Kazimierz Chojnacki, przyjechał wojewódzki inspektor łąkarski — Romejko.

Po inspekcji chcieli spotkać się z tymi, dla których przeprowadzono meliorację, udzielić rad, wskazać, usłyszeć, jak układa się robota w Zrzeszeniu.

Migotliwe błyski lampy oświetlają twarze młode, czyste, ogórzane i stare, na których wiek zapisał się gęstą siecią zmarszczek. Robi się coraz ciśniej. Chłopi stoją w otwartych drzwiach, a nawet w sieni.

— Tegoroczna mokra jesień daje nam się we znaki — zaczął Zalewski. — Nie można dosuszyć siana z ostatniego pokosu.

— Jest na to sposób — odpowiada inspektor Romejko. — Powinno się postarać się o żerdzie i dla całego Zrzeszenia wybudować kozy, na których siano schnie szybko, a tym samym zatrzymuje wie-

cej wartości odżywczych. Najlepsze byłoby oczywiście suszenie mechaniczne. Mamy w województwie bydgoskim kilka suszarni mechanicznych, ale jeszcze tego mało. Najlepszym rozwiązaniem byłoby suszarnie ruchome. Wtedy, wyobraźcie sobie, wjeżdża na wasze łąki taka suszarnia i w bardzo krótkim czasie trawa z łąki całego Zrzeszenia zostaje wysuszona, pocięta i w workach złożona do magazynu.

O, to już nie chłopcy z głuszy za lasami i bagnami, słuchają pilnie, tłumiąc kaszel i chrząkanie. Suszarka na kołach, maszyna taka? — A to ci dopiero, ten i ów oczyma wyobraźni widzi już na łąkach mechaniczną suszarnię, jak jedzie w nieopodje i w mig oddaje im suchą, „zieloną złotą”.

Gawęda coraz bardziej przemienia się w naradę produkcyjną, we wspólne, dalekosieżne planowanie. Melioracje zaprowadzone, ale trzeba je konserwować. Chłopi wybierają „gospodarza” od urządzeń wodnych na łąkach.

Zebrań kończy się. Ktoś nagle przypomina, że jutro odbędzie się w gromadzie pierwsze zebranie przedwyborcze. Jakże ożywienie. Sypią się pytania.

— Wy tam z województwa, nie wiecie, kto przyjdzie?

Kto? Żeby kandydat na posła! Jego by my chcieli zobaczyć, bo jest co u nas pokazać!

Z cizby głosów wydobywa się wreszcie głos Markowskiego:

— Dla nas przed wojną wybory — to co? Zaden rząd nas nie obchodził, bo żaden dla nas niczego nie zrobił. Dzisiaj to co innego! Sami my się przekonaliśmy...

— A gdyby do was jeszcze melioracja nie dotarła, to wtedy co? — pyta inspektor Romejko.

Zapanowała cisza. Dopiero po chwili zabrzmiał głos Markowskiego:

— Nie dziwcie się, my tu takie niedowiarki. Wiare nam zwieńczy tamte czasy, tamte rzady. Ale przez te melioracje to my teraz inaczej w gazetach czytamy o tym co się w kraju buduje. Ciekawość taka, że nie wiem. Pewnie, że byłoby wstyd nie wierzyć, choćby my tych zielonych łąk jeszcze nie mieli.

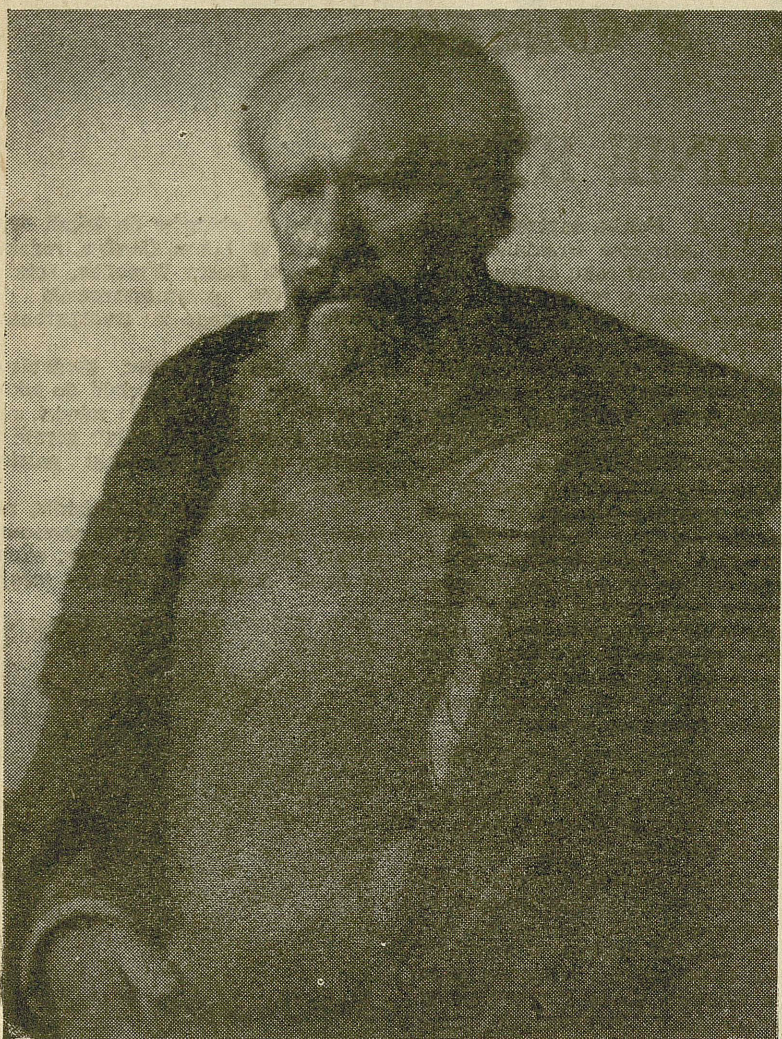
O, wstyd, że z nas były takie Tomasz-niedowiarki.

Anna Jachnina

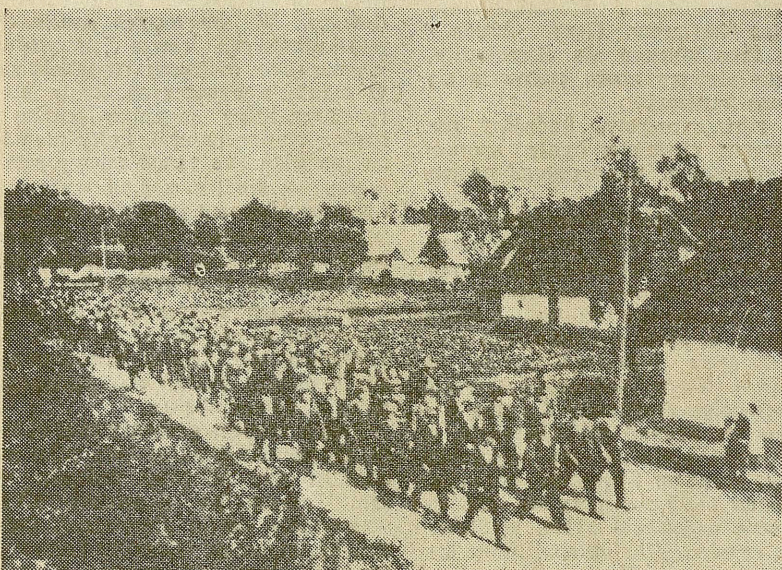
KAZIMIERZ KORCELI

CZARNIECKI I JEGO ŻOŁNIERZE

(dokończenie aktu IV)



Wojciech Brydziński w roli Stefana Czarnieckiego
(Teatr Domu Wojska Pol.-Warszawa)



Marsz na Przeworsk

BUDZISZ: Konie słycać, jasnie wielmożny panie...

Tetent przed chatą ustał. Wchodzi Czarniecki, głowę schyla w niskich drzwiach, staje i mruga powiekami, ostępiony światłem.

KANCLERZ (posunął się krok): Witaj, mości kasztelan!

CZARNIECKI: Kanclerz koronny w moich skromnych progach! Zaszczycił dla mnie... (w stronę Chrzastowskiego) Czołem. Siadajcie, wasze mości!

KANCLERZ: Król dowiedział się, panie kasztelanie, żeś przybył...

CZARNIECKI: Nocą przybyłem, mości kanclerzu i nie chciałem króla jęgomości niepokoić. Za dnia miałem się wybrać, służby moje polecając...

KANCLERZ: Gdy dano znać, że wasza miłość już pod Gdańsk podciąga, król jęgomości nie mógł z niecierpliwości wytrzymać i przysłał tu pana podsejdy krakowskiego (wskazuje na Chrzastowskiego, który kłania się w pas) i rozkazał, aby cię z wielką ceremonią do miasta wprowadził. Z panem podsejdy i ja się wybrałem, chcąc powitać tak sławnego wojownika i mnie znajomego. Wieści też chciałem wcześniej zasięgnąć, bo od kilku niedzieli w Gdańsku zamknięci na bałamutne jęno plotki zdani byliśmy...

CZARNIECKI: Pobity nieprzyjaciół szwedzki nową burzę sżykuje, do ligi wchodząc z siedmiogrodzkiem Rakoczym i z Brandenburszym. Uderza lada chwila. Wiozę listy do króla od jęmości królowej i od senatorów. Mam niepiękną nadzieję, że burza ta znów o pierś polską się rozbije. To już nie jest ubiegły rok, dziś wojsko mamy, które szkołę zwycięstwa przeszło. Ale siadajcie wasze mości...

KANCLERZ: Najjaśniejszy król życzy sobie, abyś bez zwłoki do Gdańska wkroczył...

CHZASTOWSKI (kłaniając się w pas): Tłumy mieszkańców z pochodniami na ulicach Gdańska czekają cię, jasnie wielmożny regimentarzu, wojownikowi niezwykłemu...

KANCLERZ: Rzeczywiście, miasto całe mimo nocy na nogach, gdy wieść się rozeszła, żeś przybył. Kościoły mają przykazane w dzwony bić, bo król chce cię jako zwycięzcę witąć...

CZARNIECKI (głową skłonił, chwilę milczy).

ANDRZEJ (wstał i wypreżył się przy drzwiach): Mości regimentarzu, ognie jakoweś widać w mieście i poruszenie, wiatr odgłos dzwonów niesie...

CZARNIECKI (zamyślony): Tak... Słuchaj no, Jarzab, trzeba nam będzie ruszyć zaraz... (ze zdziwieniem do Chrzastowskiego): Co waści?

CHZASTOWSKI (patrząc na Andrzeja): Mości regimentarzu! To...

CZARNIECKI (szorstko): Czego waść?

CHZASTOWSKI: Nazywa się Jarzab! Jarzab... Jak ja mogłem?... Mości regimentarzu, na Boga! pozwól mi mówić... To mój zbiegły chłop...

CZARNIECKI (zmarszczył brwi): Pod moją jest teraz komenda, czego waść tu wrzeszczysz?

CHZASTOWSKI (złożył ręce): Pozwól! mości regimentarzu! (odwraca się): Jasnie wielmożny kanclerzu, błagam, pozwólcie mi mówić...

CZARNIECKI (wciąż ze zmarszczoną brwią): Mów waść. Tylko zwięźle, nie mamy czasu...

CHZASTOWSKI: Jarzab... (uderzył się w czoło) że to nazwisko z pamięci mi wypadło, gdyśmy się ostatni raz widzieli...

ANDRZEJ: Ostatni raz widzieliśmy się, jasnie wielmożny panie, pod Krakowem, w namiocie króla szwedzkiego... Stałeś przy majestacie szwedzkim...

CHZASTOWSKI: Fałsz!

ANDRZEJ: Ja z tego namiotu bez ręki wyszedłem!

CZARNIECKI (srogo patrząc na Chrzastowskiego): Zamierz waść! Zbiegły czy niezbiegły chłop, pod moją regimentarską inkwizycją jest teraz! Na najbliższym sejmie o szlachectwo jego ja sam się upamięl...

CHZASTOWSKI: Nigdy!

CZARNIECKI (o pół kroku się cofnął): Co waść?... pijanyś?!

CHZASTOWSKI: Mości regimentarzu! Mości kanclerzu! Ja go oskarżam! To nie tylko zbiegły chłop, ale zbiegły i buntownik przeciw najjaśniejszemu królowi! przeciw Rzeczypospolitej! Na Boga! Wszemogącego kłnę się, że prawdę mówię...

CZARNIECKI (głową potrząsnął): Co to?... Jarzab, co to jest?

ANDRZEJ (głuch): Pytaj mnie, jasnie wielmożny regimentarzu!

CZARNIECKI: Czego ten czelek od ciebie chce? Byłeś jego poddany?

CHZASTOWSKI: Po kolei! po kolei! regimentarzu! Ja mam tu akta... (gorączkowo wyściągając plik papierów). Od lat go szukam... On urwał się katu!

CZARNIECKI (do Andrzeja): Co to wszystko ma znaczyć? Skąd ty właściwie jesteś?

ANDRZEJ (po chwili): Z Czarnego Dunajca. CHZASTOWSKI (uderzając ręką w rozpostarte papiery, wrzasnął): Właśnie. Z Czarnego Dunajca! Wasze mości! herzt wbiły został na pal! pomocnik jego poczwartowany! drugi ścięty... ten uszedł katu... Tak jest, wasze mości, on jest z bandy Kostka Napierzkiego! zbiegły i buntownik przeciw królowi i Rzeczypospolitej!

CZARNIECKI (cicho): Jarzab?

ANDRZEJ: Tak.

CZARNIECKI: Jarzab...

ANDRZEJ: ...Bo w niewoli nie mogłem żyć. (patrzy na Chrzastowskiego). Psią krwią nas panowie nazywają, a barzy swoje psy niż nas poważają! No, jak ja mogłem w tym ponieść...

CHZASTOWSKI (w stronę Czarnieckiego): Przecież człowiek...

CZARNIECKI (patrzy na Jarzaba i ciężko siada przy stole):

ANDRZEJ: ...I dlatego ino, że w niewoli żyć nie umiał, gdy Szwed przyszedł za brzoń chwycił... Ino dlatego, że w niewoli nie mógł...

Milczenie. Przy stole, na którym jarzab się świecie, trzej panowie siedzą tak, jakby uformowali się sąd: kanclerz w środku, obok Czarnieckiego, z drugiej strony kanclerza stoi Chrzastowski mający przed sobą rozłożone akta, Andrzej posunął się o krok bliżej i stoi.

CHZASTOWSKI: Jasnie wielmożny kanclerzu, czy prawa Rzeczypospolitej w tym królestwie obowiązują?

KANCLERZ: Toż to fundament państwa.

CHZASTOWSKI: Jako podsejdy generalny krakowski sprawę od lat miałem w aktach...

CZARNIECKI (porywczo): Masz, mości sejdzie, wyrok?

CHZASTOWSKI (tonem urzędowym): Zrazu nie wydano wyroku, ponieważ po lasach gromadziły się kupy zbrojne, nie chcieliśmy drażnić pospólstwa, wyrokowi sprawiedliwości oddając jęno herztów głównych, potem sprawa przeciągnęła się. Dziś trafia wznawia ten proces. Primo: o udział w buncie Napierzkiego go oskarżam, secundo o zbiegostwo z mojej wsi, dokąd przychodząc do dziełki swojej przez rok i sześć niedziel przebywał, co według uchwał sejmików szlacheckich w moje poddaństwo go oddaje, tertio: gdy po ucieczce z buntu Kostki Napierzkiego w żupach solnych w Wieliczce pracował, nowo gotował bunt, za co na plagi skazany, uciekł...

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI (aż podskoczył): Kat niewiast i dzieci! Zdziera kościół! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!

KANCLERZ (gróźnie): Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarby, ludzi katował...

CHZASTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ (patrząc w stronę Czarnieckiego): Sa więc i dowody?... (wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi): Co to ma znaczyć?

CHZASTOWSKI (niepewnym głosem): Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

MARCELINA GRABOWSKA

„SERCE MI PEKAŁO”

TO CZY się tu jak w innych częściach Polski batalia o przeobrażenie wsi, które gęstą siecią rozłożyły się wokół Przeworska. Jeden z najbardziej zaludnionych powiatów, o słabym przemśle uwalnia się od tradycji — na razie masowa ucieczka młodych. Komitet Powiatowy Partii bije się jednak o to, co na miejscu może dać przynajmniej silom możności rozwoju: spółdzielnie produkcyjne.

Opornie „jako za ojców bywało” słabnie pod atakiem sprawozdań z wycieczek delegatów do Związku Radzieckiego, ale przede wszystkim pod naciskiem tej właśnie — młodej — ucieczki — mówi do mnie średnio zamożny gospodarz: — Czego ja się będę trzymał tego kawałka ziemi — jeśli ona synowi wydaje się już za mała? Może spółdzielnia da mu to, czego szuka w mieście.

Wiele bowiem dróg otwiera się młodym i rodzice chcą zatrzymać przy sobie dzieci muszą otworzyć wrota nowemu, aby syn czy córka — rwąc się ku temu nowemu, dlatego że jest lepsze — nie odchodził daleko. „Dziś — nie trudno odpowiedzieć sobie na pytanie: co robić? Kiedy my byliśmy młodzi — nie tak przecie dawno — odpowiedzieć na to pytanie było niemożliwe”.

Przed wojną nie było do czego się brać, kiedy ziemia nie mogła żyć. Niekiedy można było zarobić wyplataniem koszyków, czy w sąsiednich folwarkach, ale wszystko razem nie uwalniało od ciężaru nędzy. Podawało w niewolę panów Lubomirskich, Turnauów, de Campów, których dobra szeroko otoczyły powiaty, uczyło uległości wobec księży, dało mógł poprzeć starania o robotę w cukrowni i wobec bogatego chłopa, bo mógł poratować pożyczką, kiedy sekwestrator wyciągał krowę za zaległe podatki. Rosła z tego jednak tylko nowa niewola, bo procenty od pożyczek nie pozwala-

ły spłacić samej sumy. „Za pańszczyzny tak chłopu nie bywało, jak teraz” — mawiał wtedy stary Folt. Pamięć okresu, w którym nędza pchnęła chłopów do walki — nie pozostawiając mu innego wyjścia — trwa jeszcze żywo w tych stronach, żyje też obraz marszu na miasto, ze wszystkimi szczytami. Jego uczestnicy i jego przywódcy — wtedy młodzi wiciorzy działacze — dziś są w pełni sił męskich.

Jeden z tutejszych działaczy opowiada:

„We wrześniu 1931 roku nie dopuszczono chłopów na uroczystość dożynkową do Markowej, barykadując przejazd w Łańcucie, zagradzając drogę jadącym. Latem 1932 roku policja granatowa zaczęła udaremniać odbywanie zebrań, a wiosną 1933 w powiecie łańcuckim rozwiązano wiele kół wiciorowych, między innymi w Grodzisku, gdzie skasowano Dom Ludowy, pobudowany jeszcze pod zaborem austriackim. W tym stanie rzeczy nastroj bojowy wzmagal się co dnia, a nastawienie do opozycji legalnej, tworzone przez prawicowych kierowników ludowców nie znajdowało posłuchu. Chłopi — chcieli czynu, a uchwalone rezolucje na wiecach były tylko świstkiem nie znaczącego papieru. W takim nastroju poczęła się wiosna 1933 roku, która uzwętniła się w rewolucyjnym rzeszowskim czerwem, gdzie chłopi czynnie zaatakowali sanacyjno — kapitalistyczny aparat użysku”.

Zaczęło się od wypadków w Kozodrzy. Chłopi przegnali ze wsi na przód sekwestratora Rachwałę, a potem pod komendą Ludwika Wanaata policję, którą tenże Rachwałę przyprowadził dla poparcia zachwianego autorytetu władzy. Kozodrzę otoczyła opieka chłopów; z bliskich powiatów przywędrowali gromadnie, zaopatrzeni w chleb na o-

bozowanie i w drąg, kosa, koła na odparcie spodziewanego ataku.

Święto Ludowe w tym roku przypadło na dzień 4 czerwca i znaczenie powiększyło gromadę, pilną jako bezpieczeństwa Kozodrzy. Ludzie ścignęli z dalekich nawet powiatów; władze czuły się zmuszone do kompromisowej interwencji. Przyjechał sam wicewojewoda i postawił ludowi Stachnik i Pirog. Obietnicami i podstępami skłonił chłopów do rozjeżdżenia.

Wnet wykryło się, co warte były obietnice wicewojewody i argumenty posłów. Wbrew zapewnieniom zaczęły się aresztowania, bicia, rewizje, niszczenie dobytek. W odpowiedzi chłopów urządzali burzliwe wiece. I na jednym z nich w Nockowie ci sami posłowie zostali dotkliwie pobici, kiedy znowu próbowali łączyć i kłajstrować.

Od Kozodrzy zaczęło się wrzenie, od Nockowej przelew krwi. Zdobyte doświadczenie uodporniło chłopów przeciw głośliwym zapewnieniom, więc zaczęło do nich strzelać. Tak już jednak wzrosła zawziętość gnębionych, że na nie nie zważali, aby tylko pokazać swój gniew i siłę. Sytuacja rewolucyjna dochodziła szczytów punktu. Pod Grodziskiem nastąpiło starcie tysięcy chłopów, maszerujących na Łańcut i nagromadzonej przeciw nim policji i wojska. Bitwa trwała kilka dni.

Wiadomość o niej przyniosł noca goniec do Bud Łańcuckich. Poniesiono ją do Gaci.

Gać — niezbyt daleko położoną od Przeworska upamiętnił uniwersytet ludowy, założony przez Solarza. Uniwersytet na Górze wydał wielu działaczy, jego wychowankowie cieszyli się szacunkiem i uznaniem. Nie tylko bowiem kształcił umysły, ale także urabiał charakter. Jednego tylko nie dawał, co w tych czasach było najważniejsze:

świadomości walki z ustrojem krzywdy.

W bliskiej Soninie mieszkał wyrobnik kowalski, Nycz. Założona przez niego komórka KPP rozpowszechniała ulotki i pisma. Te już użyskiwały sprawę chłopską jasno, bez osłonek. I pokazywały jedynę jej rozwiązanie. Wpływy komunistyczne ważyły się z wpływami Solarza.

Kiedy Cebulak, członek zarządu Wici, przyniósł do sekretarza Półty wiadomość o bitwie w Grodzisku, ten poszukiwał przewodniczącego Świątlika, potem razem pojechali na rowerach do Markowej, do Wynara. Ważące się wpływy wywołują u nich bezradność. Nie mogą się zdecydować: poprzeć bezpośrednio rewolucję, czy wejść z władzami w układy.

Postanowili zaalarmować okolicę — nie wszystkich, tylko tych, którzy na pewno nie trzymali z prawicowym kierownictwem Stronnictwa Ludowego. I członków Wici, bardziej radykalnych. W nocy odbyła wielka narada w Nowosielcach, w domu Słysz.

Rozbiegli się gońcy po wsiach. Pedzili na rowerach do Świętoniowej, Studzina, Dębowa, Żurawic, Mirocin. Dotarli nawet do Rozborza z drugiej strony Przeworska. Sam Folt zawiadomił Białoboki, Ostrów, Mikulice i Gać. Tylko do Gniewczyna i Gorliczyna nikt nie dotarł.

W organizowaniu nowosielcejskiej narady znać technikę konspiracji partyjnej i nielegalności. O miejscu narady wiedzieli bowiem tylko niewielu. W każdej wsi wyznaczano punkt, w którym mieli się zebrać jej mieszkańcy. Stąd dopiero pod osłoną nocy prowadził kierownicy na wiadomość sobie miejsce. Nowosielce otoczyli liczne czujki, sprawdzające tych, którzy się zbliżali.

Narada trwała całą noc. Walczyli z sobą dwie koncepcje. Jedna: iść z pomocą Grodziskowi, druga: maszerować na Przeworsk, aby wystąpiła delegacja do starosty z żądaniem chłopskimi.

Zwolennicy drugiej koncepcji argumentowali w ten sposób: iść na Grodzisk znaczyłoby zacieśnić ramy rewolucji. Grodzisk to przecie wieś. A w Przeworsku siedzi starosta. Od niego można żądać i zaprzestania pacyfikacji i przesłania na ręce rządu ułożonej rezolucji.

Nazajutrz o dziewiątej rano ścignęło kilka tysięcy ludzi ku studzińskiemu łąkom. Rozdzwoniły się telefonizne druty: starosta przeworski zawiadomił o zagrożeniu miasta, prosił o pomoc. Chłopi zdyscyplinowanymi czwórkami wybijali kurz na drodze. Na Mieczce, rzecze, płynącej pod Przeworskiem, formowała się tyraliera policji. Zbliżający się do mostu zobaczyli skierowane w swoją stronę lufy, błysk bagniet w słońcu.

Zatrzymali się; do mostu podeszła tylko wybrana w nocy delegacja: Piotr Świątlik z Soniny, Cwynar Jan z Markowej, Brożbar Tadeusz z Gaci i Kojder Władysław z Grzeskiej. Delegaci poszli do miasta, do starosty Popiela. Reszta rozsiadła się w cieniu oleń na długie czekanie. Nie pozostawiono jej w spokoju. Cagle krążyły wokół pancerne auta, polatywały nad nimi samoloty, zrzucały ulotki. Próbowano straszyć i argumentami zachwiać postawę czekających.

Odezwa do ludności: „Spokojna ludność wiejska jest świadkiem uwijania się agitatorów...” i dalej: „Pędzcie agitatorów od siebie i nie dajcie się nakłaniać do nierozważnych kroków”.

Dziś jeszcze śmieją się wspominający tamten moment i tamte słowa. — Patrzyliśmy tylko jeden na drugiego. Kto z nas jest agitatorem, a kto wywrotowcem? Zналиśmy się wszyscy dobrze, każdy z nas był jednym i drugim. Ale do „nierozważnych kroków” popychało nas tylko to, że już nie można było wytrzymać.

W starostwie rozmawiała delegacja z Popielem, w obecności ścigniętego z lwowskiego województwa

naczelnika bezpieczeństwa, Sochańskiego. Starosta sypał grzecznościami, na wszystko się zgadzał. „Zdją pacyfikację z Grodziska?” Już telefonuje. Jest miłe zaskoczenie tym, że komunistki okazały się tacy mili, całkiem ich sobie inaczej wyobrażał. Udawał strwożonego dwunastu punktami, szły za daleko, bo aż do zniesienia karteli i zmiany konstytucji. „No jakże ja to przedstawie ministrowi?” Ale niemniej obiecał przedstawiać, a jakże! i natychmiast zawiadomił, kiedy tylko nadejdzie odpowiedź.

W tej jednak chwili wszedł komendant policji. Starosta podniósł się — skończyło się dyplomatyzowanie. Wejście komendanta oznaczało, że posiłki nadeszły.

Na żądanie, aby nikt z biorących udział w marszu nie został aresztowany, odpowiedział niecierpliwie: „Dobrze, dobrze”. Odprowadził delegację, jadąc za nią powoli autem, był świadkiem sprawozdania, złożonego czekającym. A potem szybko i niespodziewanie odjechał. Na gotujących się już do powrotu „zwycięzców” szła szarża policji.

Opowiadając o tej chwili przywódcy Marszu z dumą podkreślają, że chłopci nie przestraszyli się, nie zalamali. Na komendę: „Lewa wolna!” — skupili się tylko na skraj drogi, nie zmieniając szyku. I konni przejechali koło nich, nie wazyli się zaczepić.

Podobny manewr nastąpił niedawno białobockiego folwarku. Tu idących zaatakowali ulani. Zamiast wrogiego starcia nastąpiła jednak wymiana okrzyków: „Niech żyje polski żołnierz!” „Niech żyje chłop polski!”

Kiedy wieczorem o tym wszystkim rozmyślałem — mówił Piotr Świątlik, organizator marszu — serce mi pękało, bo zdawałem sobie z tego sprawę, że karności chłopów, ich na wszystko zdecydowanie, nie zostały wyzyskane jak należało. Mvślać o okrzykach, jakimi nas witali żołnierze, żałować sytuacji,

(Dokończenie na str. 7)

JAN DANECKI

Pionierzy kultury w terenie

KIEDY we wszystkich stronach kraju — jak Polska długa i szeroka — w wielkiej bitwie wyborczej znalazła wyraz rosnąca dojrzałość mas do rządzenia krajem, na myśl przychodzi głębokie słowa Stalina, że „rozwoj kulturalny klasy robotniczej i mas pracujących chłopstwa — nie tylko w sensie rozwoju elementarnej oświaty, aczkolwiek elementarna oświata stanowi podstawę wszelkiej kultury — ale przede wszystkim w sensie NABYCIA NA WYKÓW I UMIEJĘTNOŚCI WNIKANIA W SPRAWY RZĄDZENIA KRAJEM — stanowi podstawę dozwolonej usprawnienia aparatu państwowego i uszczelnienia innego aparatu. Na tym polega sens i znaczenie leninowskiego hasła „rewolucji kulturalnej“.

Przez nasze gromady i gminy, przez dziesiątki tysięcy polskich wsi, jakie by one nie były, małe czy duże, mniej lub więcej „zabite deskami“, biega wielkie, nieustające akcje gospodarcze — kontraktacje, planowy skup zboża, planowe dostawy mięsa i mleka. Nie znajdziecie dziś wsi, która nie miałaby realnego, dostosowanego do lokalnych potrzeb i możliwości planu gospodarczego. Nie znajdziecie dziś wsi, której przedstawiciele



J. K. Maciejewski

byliby poza GRN-em, Komitetem Skiepowym GS-u, Kółkami, komisją miejscowej szkoły, poza Komisją kwalifikacyjną, Kółem ZSCh, ZSL-em, czy Karią. W twardej walce o podniesienie wydajności z ha, o wykonanie gromadzkiego planu produkcyjnego, o nowe, wyższe formy gospodarowania, rozwiązując sprzeczności i łamiąc przeszkody — pracujące chłopstwo coraz to bardziej rozwija i doskonali równocześnie masowy ruch kulturalny na wsi — znajdując w nim — najsłabszy — ośrodek w tej nowej i jakże trudnej sferze rządzenia.

Przyjrzyjmy się wyrostek na fali tego wielkiego ruchu milionów mas chłopów, nowej kadry działaczy kulturalnych, którzy w swej codziennej pracy realizują leninowskie hasło rewolucji kulturalnej.

Oto Smonowice — wioska położona w Ziemi Miechowskiej z ośrodkiem dróg i gminy. A z tej zapadłej wioski, liczącej 78 gospodarstw wpłynęło na zesłodzony konkurs czytelników 180 wypowiedzi o książkach. To znaczy, że nie ma tam domu, skąd by nie nadeszły po 2 — 3 wypowiedzi. To znaczy, że zaczynając od dzieci w szkole powszechnej, a kończąc na starcach, którym na kursach zajęto biernie analizować — wszyscy w gromadzie, cała wieś czyta książki, analizuje i dyskutuje. Stały się więc Smonowice prawdziwym i pełnym gromadzkim klubem czytelników i dyskusantów. Czy nie jest to przykład, który wskazuje, jak wielkie możliwości otwarto pod tym względem przed każdą niemal gromadą?

W Bystrzycach, pow. Łowicz, 1 mieszkaniec czyta przeciętnie 3,5 książki na miesiąc — przeważnie fachowe książki rolnicze. W Wygierzowie, pow. Chranów, książki rolnicze czytają systematycznie wszystkie kobiety. Skąd takie wielkie ożywienie ruchu czytelników? Bystrzycę od 2 lat kontraktują stae ziemniaki: len, konopie, cykorie, buraki cukrowe, zioła rolnicze. Nowe uprawy. Wesołik, Chrabaszcz i Kozuszek kontraktują rzepak, po 1,5 ha na głowę. W chałupach na komódce, gdzie dawniej pod świętym obrazem leżał Kalendarz Mariński, „Żywy Genowefy“ i „Obrazki Wielkich Patronów“ — dzisiaj u nich cały stos książek i broszur z zakresu racjonalnej uprawy rzepaku, walki z jego szkodnikami, stosowania radzieckich metod agrotechnicznych i użytkowania nowoczesnych maszyn.

A w Wygierzowie? Tam niemal wszyscy mężczyźni pracują w przemyśle — gospodarka spoczęła „na gwie“ kobiety.

Dlatego to Anna Smolik, sekretarz organizacji partyjnej, mogła skupić kobiety w Kółce Gospodyń i przekonać baby do książki rolniczej. Dziś w Wygierzowie wysławiają każdego, który zalecał uprawę i hodowlę bez... książki.

Z Babicy w powiecie przemyskim donoszą chłopcy: mieliśmy ziemniaki — ziemniaczana, a mamy dzisiaj pszenno — buraczana. Jak okiem sięgnąć, ciągną się plantacje buraków cukrowych. Co się stało? Zmienili ludzie gospodarowanie, zmienili siebie. I nie dziwne, że obok książki rolniczej największą poczytnością cieszy się w Przemyskim „Hela traktorzystka“ — książka o dziewczynie, która też umienia przyrodę — traktorem.

W małej osadzie rybackiej Tolmicku rozchwytywana jest książka

Łacisa „Rybacy“, a chłopcy z Kuźni Kaciborskiej, opolskiej wsi tęgnącej na nowo pustkowi — czytają się o pracy książek o Uprawach, z czego z tych faktów wytykać wnioski — pszenno, buraczana i ziemniaczana kultura.

Białostek — czołowy żołnierz walki o książkę — nie czuje się oświeconym. Tworzy się wokół niego aktywny czytelnik. W Łosławicach powiat Leszno drużyna harcerska roznosi książki po domach — w ciągu tygodnia werbuje 150 czytelników, a wszystkie organizacje pomagają w urządzaniu wystaw książek, każda reklamuje swoją dziedzinę: Kółko ZSCh — rolnicze książki, Związek — młodzieżowe, PPR — radzieckie, Kółko Czerwonego Krzyża — medyczne.

W pow. wałbrzyskim we wszystkich gminach stworzono z inicjatywy chłopów Kąty Czytelnicze — pomagają one stałe bibliotekarzom we wszystkich pracach: od skądinąd i katalogowania książek, poprzez propagandę książek w gromadach — aż do stałego systematycznego badania czytelnictwa, najokreślenie, na jakie książki jest największe zapotrzebowanie.

W Zaborowie, 30 km od Tarnowa, Dom Kultury obsługuje ponad 30 gromad, z których prawie każda posiada już własną świetlicę. Zaborowianie dają w nich przedstawienia teatralne, uczelają wskazówek kierownikom świetlic, wydają gazetkę terenową, wysyłają w 36 gromadach i obsługuje pizę korespondentów 36 gromad. Co ponieдельник o godzinie 18 otrzymują chłopcy odpowiedzi na pytania wrzucane do „skrzynki pytań“, wiszącej na ścianie Domu Kultury. Zjeżdżają tu z pytaniami i wątpliwościami ze wsi odległych często o kilkanaście kilometrów. Pytają o racjonalne metody uprawy i hodowli, o sposoby leczenia zwierząt, piaciwa domowego, wszelkie sprawy prawne i polityczne. W samym Zaborowie chłopcy tak za smakowali w sztuce „promieniowania“ na okolicę, że na 160 mieszkańców, prawie wszyscy dorosli — 68 osób — zdobyli na kursie kwalifikacji sanitarne, aby iść w teren z pomocą lekarską.

W Szadzie, u stóp Babiej Góry redagują chłopcy gazetkę gromadzką. Posiada ona 27 statków korespondentów a listów chłopskich niech co nieściąg na setki. Dzięki gazecie potrafili chłopcy sami, na miejscu bez interwencji z zewnątrz zacząć wiele spraw: doprowadzić do rewizji krzyżowatej klasyfikacji gruntów, usunąć z tartaków zwoździ, rozstrząsać chłopięce drzewo, poróżniać kummerskie kłaki, usunąć wrogów z Gminnej Raży Narodowej. Gazetka stała się w pełni kolektywnym agitatorem i organizatorem nowej chłopięcej opinii i aktywności. Obecnie toczy się na jej łamach szeroka dyskusja nad sniayim planem przebudowy gminy w dwóch od razu kierunkach: upełnienia rezerwy sił ludzkich na Ziemie Zachodnie i do przemysłu oraz zmiany struktury rolnictwa.

W Lubniewicach na Ziemi Lubuskiej liszczysz uszkiewicz — (niszczysz więcej — to nowy oddział zawodowców działaczy kultury) pozyskał w ciągu jednego roku 200 prenumeratów prasy rolniczo-chłopskiej. Przypadek? Niel. Fakt ten świadczy, że w Lubniewicach dorozają już warunki pod tak burzliwy rozwój czytelnictwa prasy. Ze odcenę powinna kolej przysłać na czytelnictwo książek, na rozwój teatru amatorskiego. A jak bardzo już chłopcy potrzebują teatru świadczyć może Słocin w woj. poznańskim, gdzie na występie miejscowego zespołu („Wzór i Przewodnik“) Matuszewskiego) była po 1000 osób. Z Rawy w pow. jarosławskim jeżdżą chłopcy systematycznie do Krakowa na premiery i dyskutują poim w świetlicy oglądając przedstawienia.

W województwie szczecińskim we wsi Cnociel powstaje szczególne go rodzaju spółdzielnia produkcyjna. Zawijają ją dzieci. Same uchwałyli statut, same wybrały zarząd spółdzielni, same zakontraktowały len i buraki w GS-ie, same zawarły umowę z POM-em na pomoc agrotechniczną i ze „Spółdzielnią młką“ — spółdzielnią swoich rodziców — na konie. Same też ustalają normy i obliczają dniówki obrachunkowe.

Wielki to eksperyment i piękny — „Poemat pedagogiczny“, przeniesiony na polską ziemię.

*

Kiedy dziś odmierzamy głębokość zachodzących przemian, kiedy wytyczamy nowe perspektywy na lata nowej 5-letki — w tym rachunku dokonaj przeszłych i przyszłych, nie nie wolno nam zapomnieć roli pionierów socjalistycznej kultury. Trzeba ich codzienną twórczą pracę podnieść do godności wzoru, trzeba szeroko upowszechniać ich doświadczenia, tak samo jak upowszechniamy doświadczenia przodków i racjonalizatorów w przemyśle. I tak samo — jak racjonalizatorów — otaczać systematyczną opieką, stwarzać dogodne warunki rozwoju, organizować to nowe, które wnoszą oni do skarbnicy narodowej kultury, bo „POLSKA JEST SIŁNA ŚWIADOMOŚCIĄ MAS“ — przypomina nam co dnia Bolesław Bierut.

Jan Danecki



Foto — W Kraska

„Zaprzęgać konia“ — grom. Wróblewo, pow. Sieradz

TEOFIL KOWALCZYK

Teatr w Olbrachcicach Wielkich

MIAŁEM schłodne miasteczko Ząbkowice Śląskie z ruinami piastowskiego zamczyska oraz wieżą pochyłą jak w Pizie i już znalazłem się wśród pól olbrachcickich. Obok zielonej łąki natknąłem się na kobietę, małą motyką dziobała ziemię.

— Gdzie mieszka Ragan?

— Za kościołem, tam — wskazała ręką.

— Dlaczego tak pusto u was?

— Pusto? Pewnie że pusto. Kołchoz zrobili to i wszyscy w kolchozie robią.

— Nie wszyscy — mówię. — A wy?

— Mam czas. Zobaczę w jesieni.

*

Historia Olbrachcic zaczyna się w roku 1946. Do opuszczonej przez Niemców wsi przybywają nowi mieszkańcy. Ogromna większość z nich to chłopcy spod Kołomyi, ale nie brak i osiedleńców z przedludnych wsi województwa krakowskiego. Ragan należy do tych ostatnich. Przyjechał do Olbrachcic spod Sanoka. Rodzinna jego wieś uległa zniszczeniu przez cofające się watahy hitlerowskie. W Olbrachcicach zetknął się z przybyszami ze wsi Święty Józef, powiat Kołomyja. Ci podzieliли się swoimi przeżyciami i własnym nie mniej bogatym doświadczeniem. Można by napisać, że to on ich życie. Szczegółowo były różne, ale jedno było wspólne — niedola. Zwiastowała tych biednych, Ci, którzy pod Kołomyją posiadali po 15 i więcej hektarów i tu w Olbrachcicach zamknęli się we własnym świecie chociaż objeli w posiadanie gospodarstwa nie większe od 5 hektarów. — Przeczekamy — mówili i mówią. I marzą o powrocie do Świętego Józefa. Do spółdzielni produkcyjnej nie wstąpili. Kobieta, która wskazała mi dom Ragana należy właśnie do nich.

Życie w Olbrachcicach nie ułożyło się łatwo. Istnieje ludowe powiedzenie, że bogatemu i byk się ocieli, a biednemu nawet krowa nie chce. Tak zaczęło się życie w Olbrachcicach. Ci bogaci otrzymali i domy lepsze i pokazniejszy inwentarz. Ragan mieszka w starym i małym domu. Jest krawcem, pracuje sam. Nie przewalało się u niego. Tymczasem dawni bogacze ze Świętego Józefa, zaczęli porastać w piórka. Mieli tegie woły — sprzedawali je pokatnym rzemieślnikom z Ząbkowic a nabywali konie z przydziału UNRRA choć im nie przysługiwały. Sołtysem był ich człowiek. Ruchliwi, bardziej otwórzskani, potrafili dogadać się z kierowa-

nikami dawnych wydziałów rolnych, którzy przez palce patrzyli na ich interesy i — fałszowali formularze spisowe inwentarza. Inwentarz w tych formularzach zmniejszał się ustawicznie. Gdy przyszło płacić okazało się, że płacić mniej niż ci, którzy tak licznego i doborowego inwentarza nie otrzymali. Gomółka głosił, że uspołdzielczona wsi nie będzie — więc krztałano się zachłannie, zarobić jak najwięcej. Mimo, że w Olbrachcicach nie było gospodarstw mniejszych ani większych od 4 — 5 ha wystarczał zaczęła warstwa zamożnych chłopów. Posiadali konie, zapatrzyli się w maszyny wyzabrowane w innych wsiach i zaczęli je używać chętnym za grubą opłatą. Nie chodziło im o odrodek, którego z braku większego obszaru ziemi nie potrzebowali. Chodziło o zwiększenie dochodowości gospodarstwa kosztem sąsiada. Formowała się swoista na Ziemiach Zachodnich metoda wyzysku, opartego na lepszej technicznie bazie gospodarczej — przy równych arealach ziemi. Biedacy ujrzeli, że historia ich losu zaczyna się powtarzać. Część dochodu uzyskanego z ziemi oddawali w zamian za używanie maszyn — bogatym. Autagonizmy rosły. Powszeczne wyjaśnianie przez organizację partyjną metody wyzysku biedniaka przez kulaka drogą odrobku nie przekonywały w Olbrachcicach, ponieważ tego odrobku tu nie stosowano. Na szczeblu gromadzkim, a nawet gminnym nie potrafiono im uświadomić, że posiadacz 5 ha, posiadający jednak park maszyn rolniczych jest wyzyskiwaczem w stosunku do takiego posiadacza, który nie ma nawet wolu do obróbki ziemi, a takich spotykano często. Do powiatu mimo 2 km, odległości było wtedy daleko, bardzo daleko. Zrodziło się pytanie: co robić?

Rząd wydał ustawę o pomocy sąsiedzkiej. Okazała się bardzo na czasie. Ale ustawa — ustawa, a życie — życie. Próbowano ją stosować — owszem. Zarząd gminy kierował odpowiednio nakazy, ale wtedy okazało się nagle, że maszynom brakuje odpowiednich części. Zniwiarci posiadali polamane noże, albo poprzetrzane grabki, sieńniki zatykały się, a konie chorowały. I to właśnie akurat po skończonych robotach u tych bogatych. No cóż? Maszyna się zużyła i psuje, konie mogą chorować. W praktyce równo się to torpedowaniu ustawy, by w ten sposób pomoc Rządu dla biedniaków zredukować do zera, a tym samym ułatwić bogaceniu się spekulantom, którzy już i tak zarobili na wolałach i fałszowaniu spisów inwentarzowych. Wójt gminy rozkładał ręce i wydawał no-

we nakazy, a czas upływał. Ziemia nie lubi czekać. Wobec takiego stanu rzeczy biedniejsi szli na kompromis. Układano się indywidualnie z posiadaczami maszyn o kosztach ich naprawy. Tym samym wzrastała już cena udzielonej pomocy, która wyrównała bogaczom tzw „straty“, wynikiem z ustawy o pomocy sąsiedzkiej, przewidzianej zniżonej opłacie. Po tych układach pomoc sąsiedzka ruszyła z miejsca, ale ulgi potrzebującym już nie przynosiła. Biedniacy stracili zaufanie do ustawy i wkrótce poszła w zapomnienie. W Olbrachcicach zwyciężyła na pewien czas kapitalistyczna gospodarka.

*

Na pytanie jak doszło do powstania w Olbrachcicach zespołu teatralnego Ragan odpowiedział:

— Trudno było dalej tak żyć... jak przed wojną. Ja pod Sanokiem widziałem do czego to prowadzi. Ludziom potrzebna oświata, a tutaj mówili już, że lepiej nie będzie, Teatr to dobra rzecz.

Tak się zaczęło.

Wyjaśnienia Ragana były proste, bez ozdób. Nawet skąpe. Namyslał się nad każdym słowem. Chętnych początkowo nie było wielu. Osiedleńcy, którzy już porośli w piórka mówili: — Po co to? Próźniactwo i rozpusta się zagłębi. Ale Gwoźda, Boniek i Salwach Józef powiedzieli: — robcie, zobaczmy. Sala na świetlicę jest, to może być teatr. Dlaczego ma stać pustką? Inni pokpiwali z inicjatorów, reszta zajmowała wyciekające stanowiska. Za to młodzież zainteresowała się pomysłem gorąco. Debatowano długo co grać i wybrano „Mundur swatem“. Przed wojną grano tę sztukę we wszystkich teatrach ludowych w Polsce. Miała ustaloną renomę. Nikt wtedy nie interesował się tak bardzo Olbrachciami. Najczęściej zachodzili tu rzemieślnicy z Ząbkowic i spekulanci zbożem. Ragan ze szkołą powszechną, nie bardzo rozumiał wówczas społeczny sens tej sztuki. Chciał ożywić życie kulturalne wsi, a tym samym zacząć jej myślenie. Dziś już wie, że to głupia sztuka, ale wtedy wydawała mu się dobra, bo nie znał lepszych, a trudny jest wybór na pustkowi. Sztukę wystawiono, frekwencja widzów była duża, grano ją parę razy. Ale ludzie obejrzeli, posłali się i wyszli. Nie o niej nie mówili. Gwoźda milczał, Boniek kręcił głową. Po tygodniu ludzie o sztuce zapomnieli. Ragan i jego zespół zrozumieli, że ich praca wygląda jak kamień rzucony w wodę. Był rok 1947. Podstawowa organizacja partyjna była jeszcze słaba, ZSCh nie interesował się pracą kulturalną na wsi. Moralnego zadowolenia zespół nie miał, ale kasowo przedstawiał się i się opłacał. To było powodem, że nie zrezygnowali z pracy. Jako następna sztuka poszła „Zemsta cygana“, a po niej inne, podobne do siebie. Rozkrzewiło się uczucie potrzeby teatru, skończył się sam zespół, nabrał szczerzego doświadczenia. Sukces kasowy był miarodajną oceną wysiłku. Była dobra kasa — znaczyło, że i sztuka jest dobra. W tym to czasie toczyła się na wsi walka o właściwe w myśl życzeń bogaczy załatwianie sprawy pomocy sąsiedzkiej. Sukcesy kasowe zespołu teatralnego były wadą na młyn tej walki. Afirmowały ją ideologicznie. Zespół był dobrze widziany u zwolenników starego porządku. Schlebiali ich dążeniem do pomnażania bogactwa kosztami, innych, zacierał ostrą antagonyzm klasowy. Wpływy ze sprzedaży biletów na przedstawienia schlebiali znowu zespołowi. Pieniądz stawał się miernikiem ideologii, ilością pieniądza szacowało się kulturę, forsowaną do Olbrachcic.

Dopiero rok 1950 stał się rokiem przełomu. Członkowie zespołu zaczęli się już w okolicy sławą dobrych aktorów. Zdecydowano się na wystawienie „Szkiców węglem“. Nazwisko Sienkiewicza pociągało jak magnes. Centralna Rada Związków Zawodowych, ZSCh, a przede wszystkim Partia zwróciły uwagę na repertuar teatrów świetlicowych. Wycofano z użytku sztuki stare, mało wartościowe, w ich miejsce podawano nowe, o innym wydźwięku ideologicznym. Zespół Ragana odnowił się. Odpłynęli ludzie związani z tym co było stare, napłynęła młodzież, która nie potrafiła swego czasu dogadać się z kierownikami wydziałów rolnych i nie szabrowała maszyn z

dalszych okolic. Pierwszy rok planu sześciolletniego mobilizował masy do zwiększonych wysiłków, mówiono o otwarcie o spółdzielniach produkcyjnych na wsi. Chowali głowy wyzyskiwaczy, przychylali, żeby ten nowy, świeży wiatr nie obalił ich w pierwszym podmuchu. Odnowił się zespół Ragana. Widziałem i czulem — powiedział — że teraz nie będzie my już sami. Pracować trzeba, ale naszą pracę oceniać może inaczej. Gwoźda, który już dawno machnął na zespół, zaczęł go znów. — Ale powinniście grać coś lepszego niż o cyganach i mundurach — mawiał. To nam nie potrzebne. „Szkice węglem“? — Niech będą i „Szkice“ — było dobre. Myślał już o spółdzielni produkcyjnej w Olbrachcicach i rozumiał już, co można zwojować i „Szkicami“, Zespół zabrał się do roboty.

*

W międzyczasie powstały już Spółdzielce Ośrodki Maszynowe. Z czułym sercem oddawali łusicochy olbrachcickie koparki, siewniki i kosiarzki do SOM-ów. Kończyły się dla nich tułuste lata. Następowo wyrównanie ekonomiczne. Baza techniczna olbrachcickiego rolnictwa przechodziła na własność społeczną. Drobna, domowa gospodarka nie mogła już przetrwać się w kapitalistycznej. Ale przy tworzeniu SOM-ów wyszła znowu z jamy zbrodni dusza kulacka. Większość oddanych maszyn okazała się nieużyteczna, zepsuta. Cały zebrany sprzęt musiał być poddany dokładnemu remontowi. Ragan przypomniał sobie przecięcie łączności telefonicznej pod Sanokiem. Wtedy wróg wydał woskie na pastwę armatniego ognia. Teraz ten sam wróg narażał na strąły Olbrachcic, zmuszając je do niepotrzebnie do remontu maszyn, które tak niedawno trafiały na pola. Wróg działał w sposób przemysłowy, dokładny i wyrafinowany; zrywał wszelką biedak z zaplecem tj. SOM-em.

*

Nad „Szkicami węglem“ pracowano długo i starannie. Na próby przychodzili: Gwoźda, Boniek i Krupina oraz wielu innych. Spośród nich nierzaz Ragan, nim zaołał jako reżyser zadowolili ich smak. Prawie równocześnie zaczęto przygotowania do wystawienia „Przygód wojska Szwajkara“. Podesza prac nad tymi sztukami wróg również nie spał. Gasła w najpoważniejszych momentach elektryczność. Nie zdołano nigdy ustalić kto był tego sprawcą, ale stwierdzono, że wykrecano i kradziono korki przy zegarze elektrycznym w świetlicy. Ta złośliwość nie osłabiała ducha zespołu. Wiedzieli że w ich życiu zaczął się wielki zwrot. Gdy Ragan o tym mówi śmieją mu się oczy. Zbliżali się szybkie kroki do nakreślonego celu. Za nimi stała już podstawowa organizacja partyjna, choć ZSCh jeszcze o nich nie wiedział. Ragan mówi o początkach swojej pracy z żalem, zwłaszcza o tym najtrudniejszym dla nich okresie. Gdy zespół stał się już znany i zaczął wywierać wpływ na okolicę sytuacja oczywiście się zmieniła. Teraz jest już można powiedzieć — dobrze. Wiele uczynił tu wpływ ze strony Wojewódzkiego Zarządu ZSCh. „Szkice węglem“ ośmiły Olbrachcic i sąsiednie wsię swoją prawdą i bijącym w oczy realizmem. Dwadzieścia przedstawień to nielada sukces. „Przygody wojska Szwajkara“ — głupota despotyzmu i zbrodnicość imperializmu oświeclana przez chłopską rozsadkę prostego żołnierza — rozbijały męczące ich pytania. Osiemnaście przedstawień dał wtedy zespół i utworował sobie drogę do ogólnego uznania. I tu należy szukać początków myśli o założeniu spółdzielni produkcyjnej przez Olbrachciczan. Już wtedy ludzie zaczęli mówić: tak, znamy takich wójtów ze „Szkiców węglem“, to nie fantazja, a rzetelna prawda, nie poradzisz w pojedynkę z takim. Zanim władze w gminach objęły prezydium rad narodowych urzędów podobny wójt i w naszej gminie. A czy w Świętym Józefie pod Kołomyją za czasów sanacyjnych nie było takiego wójta? Trwała jest chłopka pamięć i rozum potrafi analizować zjawiska społeczne zgodnie z dialektyką marksistowską. Z zadumą wychodzili ludzie z przedstawienia, a potem sprzeczały się zjadale.

— c. d. w następnym numerze

NIKOŁA JONKOW WAPCAROW

W i e r s z e

* * *

W tej walce idzie o śmierć albo życie.
Tu trzeba ginąć bez zmruczenia powiek.
Ja padłem. Ale w szeregach jest krycie —
co tutaj znaczy jakiś sobie człowiek!

Salwa! I zwykłym rzeczy biegiem
robaki toczyć będą ciało.
Lecz gdy powstaniesz, znowu z tobą będę
narodzie mój, ponieważ cię kochałem!

Przełożył Franciszek Korwin

W I O S N A

Wiosno moja, biała moja wiosno,
jeszcze nie przeżyta, nie święcona,
tylko w snach promiennych wymarzona!
Gdy przepływasz nisko nad topolą,
tu nie kończy się twój śmiały polot.

Wiosno moja, biała moja wiosno,
wiem, że przyjdiesz w deszczach, w huraganach,
w burzy strasznej, w ognistej zawiei,
że dasz odwet tysiącom nadziei,
że wymyjesz krwią zalane rany.

Hej, jak ptaki zanuć po polach!
Rade będą w przestworzach żeglować,
ludzie trudu porzucą swe bóle
i jak bracia będą się miłować.

Wiosno moja, biała moja wiosno!
Niech twój ujrze lot triumfujący,
Gdy na placu boju legną blady,
niechaj widzę tylko twoje słońce
i — niech skomam na tych barykadach!

Z bułgarskiego przełożył: Zdzisław Jerzy Kempf

NIE BÓJCIE SIĘ DZIECI

Pracujemy ciężko
od świtu do zmierzchu,
tymczasem
nie starcza nam chleba,
nie starcza nam chleba, dzieciaki.
I wasze buziaki
skrzywione są płaczem grymasem,
a wasze oczęta
szeroko otwarte
są głuche i nieme,
bo smutek w nich wszystko pogrzebał.
Zostało tylko
błaganie uparte:
chleba!
chleba!
chleba!

Posłuchajcie, dzieci,
posłuchajcie, maleńkie moje
dzisiaj jest tak,
tak samo było i wczoraj.
A ja
nakarmiłbym was z ochotą,
ale że nie ma czym,
oto:
Choć was wiarą
napoję.
Nadejdą lata

i my je chwycimy w swe ręce.
Dni wody wzburzone
w betonie popłyną lawiną.
Nie damy im z brzegów wystąpić —
już nie ujdą nam więcej.
Powiemy im:
„Tak macie płynąć!”
I wody posłusznie popłyną.

Będziemy mieli wtedy chleb.
Będziemy mieli chleb!

I radość wam w oczach zaświeci
pociechy małe.
Jeśli mam ja —
to znaczy, że jest i dla ciebie,
jeśli masz ty —
to znaczy, że ma i świat cały.

I życia nowego
oddychać będziemy powiewem,
a dni oplesniałe
odejdą ogromnie daleko.
Będziemy śpiewali,
będziemy pracować ze śpiewem
i w pieśniach radosnych
będziemy sławili człowieka.

A jeśli przypadkiem
nie zdołam się oprzeć starości,
przyglądać się będę przez okno,
jak w drogę daleką idziecie.
Zobaczę wasz powrót,
usłyszę okrzyki radości
i szepnę cichutko:
„O, jakże jest pięknie na świecie!”

Na pewno tak będzie!
A dzisiaj brakuje nam chleba.
I pierś waszych matek
wychynięta jest teraz i pusta.
Narzekać? — Któż pomóc nam zechce.
Narzekać? — nie trzeba.
Jednak mnie ból ścisła
i skarga się ciśnie na usta
za wasz los,
co budzi tyle serca drzeń.
Ale

nie bójcie się dzieci

o jutrzejszy dzień.

Przełożył Franciszek Korwin

MAM JA OJCZYZNĘ

We dnie nad ojczystą moją ziemią
słonecznego nieba błyszczą szczyty.
W nocy ciche gwiazdy w górze drzemią,
nim je zgasi dnia nowego świt.

Lecz gdy wracam nocą niewidomą
i przestąpić mam rodzinny próg,
czuję, że za węglem mego domu
z rewolwerem w ręku czyha wróg.

Abym wszystkich kochał tak, jak ciebie,
przy kołysce uczył mnie twój szepc,
lecz gdy w sercu nienawidzę pogrzebień,
kto mi, matko, wolność da i chleb.

Przełożył Franciszek Korwin



KAMEN KAŁCZEW



Z Ludowej Bułgarii

WIDZIAŁEM WARSZAWĘ!...

W CIĄGU zaledwie pięciu, czy sześciu lat, z ruin i zgłiszcz nad Wisłą, powstało jak gdyby cudem, piękne miasto Syreny, potężne i pełne radości życia, z przestrzennymi i jasnymi fasadami, z wielkimi zielonymi parkami, przezyciętą zniszczenie i śmierć.

W pierwszych dniach pobytu w Warszawie, pewien mój przyjaciel — Polak, zatrzymał mnie na ulicy i z niecierpliwością zapytał:

— Proszę powiedzieć, jak panu wydaje się Warszawa?

Zawahałem się, lecz odpowiedziałem szybko:

— Nie widziałem jej jeszcze.

— Jak to?

— Przecież cała obandażowana jest drewnianymi i żelaznymi rusztowaniami — dodałem.

— A jednak, — ciągnął dalej Polak — ma przecież swą fizjonomię, swój styl! Jeśli nie ujrzy pan tego, znaczyłoby to, że nie widział pan nowej Polski!

I rzeczywiście, wtedy jeszcze nie odczuwałem potężnego pulsu tego ukrytego za drewnianymi i żelaznymi rusztowaniami życia, który stał się sensem i treścią nowej Polski. Teraz, kiedy w pamięci widzę wielopiętrowe korpusy mieszkalne, dwugie mosty żelazne nad Wisłą, znaną trasę W—Z, blask tramwajów, autobusów, trolejbusów, warkot tysięcy samochodów, ciągnących Marszałkowską i Nowym Światem, nie mogę nie pomyśleć o zwykłym Polaku, który pod przewodem swego rządu ludowego wykonuje te cuda i z każdym minionym dniem, bez rozgłosu, urzeczywistnia potężny, sześciolatek plan gospodarczy.

Dla wszystkich już widoczne jest tempo tego gigantycznego budownictwa, ponieważ nie nowe budynki sterczą wśród ruin i zgłiszcz, jak było przedtem, a przeciwnie — ruiny i zgłiszcz nikań wśród nowych budynków, jako smutne pomniki niewoli faszystowskiej. I wszystko to odbywa się dokładnie tak, jak powiedziane jest w warszawskiej piosence: „...tu rośnie dom, tam rośnie dom z godziny na godzinę...”

Jeden tylko, wielki teren w Warszawie wciąż jeszcze stoi niezabudowany. Nie ma takiego człowieka, przebywającego w stolicy Polski, który nie odwiedziłby tej smutnej równiny, na której widać potłuczone naczynia domowe, zarzucone sprężyny, polamane drzewa, klamki, a tu i ówdzie na równinie sterczą starannie ułożone sterty starzych, poczerwiałych przez czas, cegieł. Gdzieś w dali, przed napół zniszczoną bramą dawnego wieżowca, wznosi się granitowy pomnik ku czci poległych Żydów. Ta ciemna — czerwona pustynia z cegły —

to znane wszystkim ghetto warszawskie, gdzie w czasie okupacji hitlerowskiej zostało dosłownie żywcem spalonych i wymordowanych przeszło trzysta tysięcy niewinnych ludzi, tylko dlatego, że urodzili się oni Żydami. Z zimnym, hitlerowskim pedantyzmem, zburzone zostały jeden po drugim wszystkie domy mieszkalne, szkoły, szpitale, synagogi, ulice, place. Teren w tym miejscu nie posiada nic, co przypominałoby dawne domy. Tylko ciemna, granitowy pomnik, u stóp którego zawsze ułożone są świeże kwiaty, mówi o strasznej przeszłości i o wielkim bohaterstwie Żydów.

Barbarzyństwo hitlerowców nauczyło ludzi głęboko nienawidzić zabójców. Bynajmniej nie przypadkowo, przyjaciel mój, z którym zwiedzałem ghetto, powiedział:

— Nie pozwolimy tego powtórzyć!

— Przecież palą i burzą oni miasta koreańskie, tak, jak palili i burzyli nasze miasta i wsie.

— Tym razem nie uda im się, nie pozwolimy!

Wpatrzni w puste pole cegieł, rozmyślał o ostatnich wypadkach na Korei i o wojnie, którą tak starannie przygotowują bankierzy amerykańscy. I chociaż jasne było dla nas co przedstawia imperializm amerykański, jednak tutaj, na tle ghetto warszawskiego, nie mogliśmy wytłumaczyć sobie tępoty bankierów i krótkiej pamięci trumanowców. Będą próbować, być może, tak jak na Korei i przewrócić może w pustynię niektóre miasta, tak, jak zrobili to hitlerowcy w Warszawie, a jednak nie zwyciężą oni, nie uda im się przeprowadzić swych nieludzkich zamiarów, tak, jak nie udało się szakalom faszystowskim! I tak, jak oni, zginą zgnieci i na zawsze potępieni przez uczciwych ludzi.

Walka o pokój i wola życia mocno wyrażona jest w tym odradzającym się mieście. Budowa nowych gmachów jest tylko zewnętrznym wyrazem tej woli. Za drewnianymi i żelaznymi rusztowaniami i nieotynkowanymi murami kipi zupełnie nowe polityczne i kulturalne życie, którego nigdy przed wywołaniem nie znała szlachecka Polska.

Przez cały czas mego pobytu w Polsce, nie mogłem nadziwić się temu żywiołowi kulturalnemu, który ogarnął całą stolicę. Równoległe z ogólnym tempem budownictwa, idzie tempo życia kulturalnego. Wzruszający jest obraz, kiedy przed mokrymi jeszcze domami, gromadzą się ludzie, aby kupić bilet do teatru lub kina, kiedy, gdzieś tam między szkieletami stychały sztuki maszyn do pisania, widać półki z książkami, słychać mło-

dzieńce głosy studentów i uczniów, słychać tony pianina, rozlegają się melojny pieśni...

Miłość sztuki Polaków wyrażona jest specjalnie mocno w rekonstrukcji zabytków historycznych. Ogromne sumy wydał rząd polski na odbudowę Starego Miasta, z jego cenną pod względem architektonicznym i historycznym katedrą, i pałacami, na odbudowę zabytkowych domów Rynek itd. I oto, znowu pnie się ku niebu wspaniała Kolumna Zygmunta, znowu widać, wśród zieleni parku, brązowy monument zamysłodnego Mickiewicza, znowu siedzi, twarzą zwrócony ku Krakowskiemu Przedmiesciu genialny Kopernik, bieleje Belweder, Mariensztat; tonie w zieleni pałac wilanowski. Jakiej cierpliwości i sztuki wymaga od architektów i budowniczych warszawskich odtwarzanie każdego zgięcia, każdej linii, każdego kąta zabytków. I mimo wszystkich trudności, doskonale wykonują oni te szlachetne zadania. Znowu odrodzi się stara, romantyczna Warszawa, w pełnej harmonii z nowym, socjalistycznym miastem.

Odwiedziłem szereg teatrów warszawskich i wszędzie zostałem zaskoczony bogatym realistycznym wystawieniem sztuk, które widziałem, i doskonałą grą artystów.

Cóż to za talentowany naród! Mówiąc o teatrach warszawskich, nie mogę nie wyrazić swego uznania dla wspaniałej gry ludowego zespołu artystycznego „Mazowsze”, który na podobieństwo radzieckiego chóru „Piatnickiego” wykonuje znaczne pieśni ludowe i tańce.

Motywy ludowe w nowej polskiej sztuce zajmują coraz to więcej miejsca. Widać to nie tylko w tańcach i pieśniach, ale również i w nowych, współczesnych powieściach pisarzy polskich. Literaci polscy coraz to bardziej i bardziej otępieni są się z pełnią formalizmu zachodniego. Zagadnienia realizmu socjalistycznego, które nurtują nas, pisarzy bułgarskich, z nieminiejszą siłą zajmują i nurtują pisarzy polskich. Wystarczy tylko przeczytać kartki „Nowej Kultury”, „Twórczości” czy „Wsi”, aby przekonać się, jaka wielka twórczość literacka kipi dzisiaj w nowej Polsce.

Warszawa nie tylko buduje nowe mieszkania. Warszawa żyje, tworzy i walczy. Warszawa stoi dzisiaj w jednym z pierwszych szeregów i wysoko wznosi sztandar kultury i pokoju, sztandar socjalizmu.

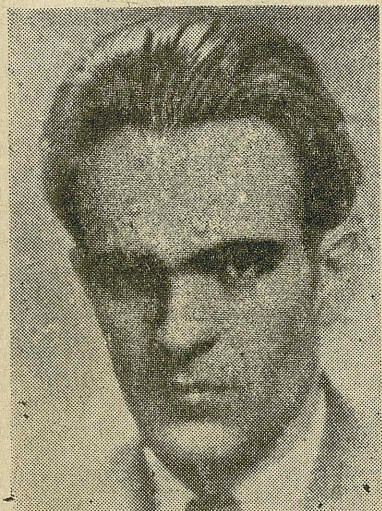
Wieczorem, kiedy wracalem do „Bristolu”, zmęczony urażeniami, zawsze przypomniałem sobie słowa mego polskiego przyjaciela:

— Nie, nigdy nie pozwolimy na powtórzenie wojny!

Przełożył z bułgarskiego Jan Woźnicki

FRANCISZEK KORWIN-SZYMANOWSKI

P O E T A W A L K I



Nikołaj Jonkow Wapcarow 1909—1942

DZIESIEĆ lat temu, 23 lipca 1942 roku, na strzelniczy garnizonowej w Sofii salwa karabinowa plutonu egzekucyjnego przecięła życie największego poety bułgarskiego ostatnich czasów — Nikoły Wapcarowa. Razem z poetą padło pod kulami faszystowskich katów, pięciu innych działaczy Bułgarskiej Partii Komunistycznej. Egzekucja dokonana została na mocy wyroku sądu wojennego, skazującego na karę śmierci dwunastu — z tych sześciu zaoznaczonego — spośród oskarżonych o przynależność do nielegalnej partii komunistycznej i organizowanie ruchu oporu przeciwko monarchii — faszystowskiemu rządowi i jego hitlerowskiemu protektorowi. Wyrok był nieodwołalny. W swym ostatnim słowie na procesie Wapcarow oświadczył z dumą: „Walczyłem o szczęście swojej ojczyzny i gotów jestem dla niej umrzeć”. Do ostatniej chwili zachowa-

wał godność i niezłomność komunisty. Po kilkumiesięcznym więzieniu, po strasznych torturach, jakim był poddawany, oddał swe życie za sprawę, której poświęcił wszystkie swe sily i której wiernie służył do końca. Oddał swe życie w walce o wyzwolenie klasy robotniczej spod monarchii — faszystowskiego reżimu i hitlerowskiej okupacji, w okresie, o którym Georgi Dimitrow mówił, że zostanie złotymi literami zapisany w historii Bułgarskiej Partii Komunistycznej i bułgarskiego narodu. Wapcarow dobrze rozumiał istotę tej walki i zdawał sobie sprawę z ofiar, jakich ona wymaga, ale wierzył mocno, że zakończy się ona zwycięstwem.

Nikołaj Jonkow Wapcarow urodził się 24 listopada 1909 roku w miasteczku Bansko położonym u podnóża Pirinu, łańcucha górskiego rozciągającego się w południowo — zachodniej części Bułgarii. Wzrastał w kulturalnym i przenikniętym postępowymi ideami środowisku. Matka, wychowanka amerykańskiego kolegium w Samokow była z zawodu nauczycielką, ojciec działał w ruchu politycznym Macedonii, najpierw w jego rewolucyjnym nurcie, później przeszedł na pozycję wielkobułgarskiego szowinizmu. Na okres młodości poety przypada wielki wzrost świadomości rewolucyjnej wśród mas pracujących, który doprowadził do powstania ludowego w 1923 roku. Powstanie to odgrywa ogromną rolę w rozwoju ideowym Wapcarowa. W gimnazjum wstępuje do tajnego kółka politycznego, w którym zapoznaje się z literaturą marksistowską i przyswaja sobie podstawy naukowego światopoglądu. Ojciec poety niechętnym okiem siedzi roz-

wój radykalnych przekonań u syna i postanowił wyrwać go spod wpływu tego środowiska. Wyperswadował mu, że nie będzie miał warunków do studiów uniwersyteckich i radził zapisać się do szkoły zawodowej, która kształciła mechaników okrętowych, Wapcarowa pociągała romantyka marynarskiego życia. Zgodził się, przerwał gimnazjum i rozpoczął naukę w Szkole Mechanicznej w Warnie. Kilka lat w tej szkole spędzonych jeszcze bardziej umacniał. Mimo żelaznej dyscypliny podległej i upadkiem człowieka w systemie kapitalistycznym, widzi sprzecznosci kapitalizmu w ich najostrejszej formie. Po powrocie z praktyki nie znajduje pracy w swoim zawodzie — grozi mu bezrobocie. Dzięki stosunkom ojca udaje mu się jednak dostać pracę w fabryce papieru w Koczerinowo. W tym czasie wstępuje do nielegalnej partii komunistycznej — rozwija ożywioną działalność polityczną i kulturalną wśród robotników. Wydalony z fabryki przenosi się do Sofii. I znowu to samo: daremnie poszukiwanie pracy — uprzedzenie o jego działalności właściciele fabryki odprowadzają go z niczym. Zmuszony jest przyjąć kolejno kilka ciężkich zajęć, które rujnują jego słabe zdrowie. W końcu pracuje jako palacz na lokomotywie. W Sofii z wiek-szą jeszcze siłą poświęca się Wapcarow pracy partyjnej. Agituje do

wszystkich inicjowanych przez Partię akcji i demonstracji, popularyzuje uchwały i odezwy Partii, mobilizuje robotników w kampanii wyborczej, propaguje ideę paktu przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, wreszcie, w okresie wojny, pracuje w konspiracyjnej organizacji wojskowej. Prześladowany przez władze rządowe, pozywany przez sąd, raz nawet internowany przez kilka miesięcy nigdy się nie zламuje, zawsze znajduje siły do podjęcia walki. Równoległe z pracą polityczną prowadzi Wapcarow ożywioną działalność społeczną i kulturalną. Zajmuje kierownicze stanowisko w opozycji Związku Techników, jest członkiem komitetu redakcyjnego czasopisma technicznego, sam redagując przez pewien czas pismo literackie, kieruje amatorskim zespołem teatralnym, organizuje zespół recytacyjny, przewodniczy macedońskiemu kółku literackiemu. I tu paradoksem — największy poeta bułgarski ostatnich lat zajmował się pracą literacką na marginesie swego życia, wypełnionego pracą zarobkową i działalnością społeczną i polityczną. Wapcarow napisał niewiele, ale po Christo Botewie i Christo Smirneńskim linia rozwoju narodowej i rewolucyjnej poezji bułgarskiej wzniosła się najwyżej właśnie w jego twórczości.

Wapcarow jako poeta przeszedł długą drogę rozwoju. Ale nie była to droga wielkich załamań i zwrotów, wahań i poszukiwań. Młodość jego wiersze to osobista liryka: miłość, młodość, piękno przyrody, różnorodne nastroje. Są i entuzjastyczne porwy, ale służą one bezprzedmiotowym marzeniom. Na wszystkich znać brak pełnej samodzielności twórczej, tu i ówdzie u-

jawniają się wpływy symbolistycznej poetyki. W dojrzałych jednak ideowo i artystycznie wierszach stał Wapcarow od razu i twardo na gruncie realizmu. Zresztą, co innego mógł uczynić poeta, który w ciągu jednej zmiany rzucił 10 ton węgla na palenisko lokomotywy. Ta „okoliczność, że Wapcarow sam pracował jako robotnik i że w środowisku robotników formował swój światopogląd, pomogła mu bardzo w znalezieniu właściwej drogi, a w połączeniu z wysoką kulturą literacką i prawdziwym talentem poetyckim sprawiła, że po tej drodze szedł wzorczo i zaszedł daleko. W poezji Wapcarowa wszystko opiera się na osobistym przeżyciu, wiedza o życiu klasy robotniczej dana mu jest w bezpośrednim doświadczeniu. Ta „bezpośredniość” przeżycia i ostrość widzenia wspólnie z trafnością ideową i artystycznym ujęciem, a wszystko przeniknięte tonem namiętnego buntu i gorącej partyjności, nadaje wierszom Wapcarowa szczególną siłę. Duży wpływ wywarła na Wapcarowa literatura rosyjska i radziecka. Puszkina i Gorkiego poświęcił poeta dwa piękne wiersze, w których składa hołd wielkim mistrzom słowa i pisarstwu postępu. Wapcarow znał i wysoko cenił poezję Majakowskiego, niewątpliwie wiele się od niego nauczył, z tym wszystkim nie poparł w manie bezmyślnego naśladowstwa, które zaścienieło twórczość wielu poetów wierszylami ostatniej klasy, nie przejął zewnętrznych cech jego poezji, ale zato doskonale uchwycił jej ideowe wartości, jej partyjność i bojowość, temperament i entuzjazm. Jeżeli mówimy o popularności poezji Wapcarowa, to musimy podkreślić, że opiera się ona nie tylko na ideowych wartościach jego wierszy,

ale także na ich wysokim artyzmie. Jednym z dużej wagi czynników, które kształtowały postawę poety, był wpływ poezji ludowej. Zewnętrznie wyraża się on w stosunku do języka, w podejmowaniu tematów z pieśni ludowych, w parafrazowaniu niektórych z tych pieśni. Przede wszystkim jednak jest on wkroczenie w metodę twórczą, ujawnia się ona w traktowaniu tematu, prostocie i odkrywczości środków obrazowania. Na tych podstawach wyrasta realizm Wapcarowa.

W poezji swojej wszedł Wapcarow do robotniczej dzielnicy kapitalistycznego miasta i pokazał życie pod zadymionym kominami fabrycznym niebem. Pokazał trud codziennej pracy i ciężkie jej warunki, żartując walkę o byt i szarżując życiem, tłum bezrobotnych przed zamkniętą bramą fabryki i twarze wygłodniałych dzieci. Zairzał w oczy robotnika i odgadł jego myśli. Mocno dźwięczy w wierszach Wapcarowa nuta patriotyzmu, ale patriotyzm jego to patriotyzm proletariacki. Kocha poeta gorąco swą ojczystą ziemię, kocha masy robotnicze co rano śpieszące do fabryk, ale nienawidzi tych, którzy odbierają im wolność i prawo do chleba. Patriotyzm jego jest w ścisłym związku z internacjonalizmem. Walki klasowej nie zamyka w granicach jednego państwa. Walczącęj Hiszpanii poświęca cykl pięknych wierszy, w których wyraża solidarność z bohaterskim porwytem hiszpańskich robotników.

Dominującą cechą poezji Wapcarowa jest jej optymizm. Ale optymizm ten nie opiera się na lace bezczynności, jest to optymizm rewolucyjny, wynikający z czynnej postawy wobec kapitalistycznej rzeczywistości, taki, do jakiego daje prawo świadomość nieusłanej walki o to, by życie stało się „piękniejsze od pieśni”.

Franciszek Korwin-Szymanowski

Sofia, 1. października 1952 r.

JOZEF RURAWSKI

TRUDNOŚCI DEBIUTU

POWIEŚĆ Zdzisława Kubalskiego* jest nie tylko jego pierwszą książką, ale jest to także pierwsza w ogóle powieść, która wyszła z warszawskiego Koła Młodych Literatów, by służyć szerokim masom czytelników, wzbogacić ich wiedzę o życiu i kształtować ich zmysł estetyczny. Jest to zatem w pewnej mierze debiut całego Koła. Jej sukces będzie także sukcesem Koła. Jej niepowodzenie świadczyć będzie o tym, że praca Koła nie zawsze idzie jak należy.

Powieść Kubalskiego „Świt” to historia zakładania spółdzielni produkcyjnej w małej wiosce Zakrzewku, to historia kształtowania się nowej socjalistycznej świadomości wśród pracującego chłopstwa. Temat bardzo potrzebny i aktualny, ale już nie nowy. Pisał już i Niziuski „Gorące dni” i Drożdż-Satanowska „Opowieść wierzbową”, a znalazłby się i inne powieści poruszające ten sam problem. Dlatego nie wystarczy już dziś „podjąć temat” i ukazać przebieg walki klasowej. Trzeba napisać o wsi dobrze, ukazując całą jej złożoną sytuację w dobrych, porządkujących obrazach literackich.

Jednakże młody autor nie zawsze potrafił stanąć na wysokości zadań nowego etapu naszej literatury. Najważniejszym błędem jest szabloność postaci powieściowych, fakt że cała powieść zarysowana jest właściwie w dwóch kolorach: czarnym i białym. Jest to błąd z pewnością poważny choć w debiucie dość częsty, a jeśli nie wybaczyć, to w każdym razie zrozumiały, płynący z niewielkiego doświadczenia młodego pisarza. Autor nie zrezygnował z natrętnego, niezręcznego komentowania każdego ruchu i słowa bohaterów, co spowodowało ich czynny i odczuć do kilku ograniczeń schematów. Nie rozwinął szerzej akcji, nie pozwolił bohaterom działać samymi, a czytelnikowi nie dał możliwości śledzenia z napięciem całego przebiegu akcji. Poważnym niedociągnięciem jest to, że czytelnik łatwo może przewidzieć tok akcji i to nie w najogólniejszych zarysach, co świadczyłoby, że autor trafnie uchwycił klasowe wyznaczniki typowego działania postaci, ale i w szczegółach, co dowodzi, że postacie te nie mają własnej indywidualności,

rozmierzających ich postępowanie, lecz że kierują się tylko kilkoma publicystycznymi wyabstrahowanymi schematami „klasowych odruchów”, że ich czynny i reakcje psychiczne pozostawione zostały skomplikowanemu bogactwu motywów i uwarunkowań właściwych realnemu życiu. „Schemat powieści nie jest zły, źle jest tylko, gdy powieść jest schematem” — mówi Ila Erenburg, a tak niestety jest często u Kubalskiego.

Bohaterowie „Świtu” zasadę swego postępowania wykładają już na pierwszych stronach powieści. Wstępna rozmowa kulaków zarysowuje obraz układu sił we wsi — a jednocześnie — i tu właśnie tkwi niedomaganie książki — obraz literackie dalszych jej partii nie już istotnego do tego nie dodają. Wiemy, że organizacja partyjna jest słaba, że kulacy będą działać i domyślamy się, że zostaną nieszkodliwieni.

Mimo woli przypomina się wiersz Jurandota:

„Kulak się wyniósł, młodzi się pobrali
wszyscy się cieszą, światło się pali”.

W jednym tylko punkcie pokusił się młody autor o przełamanie schematu, o zbliżenie go ku różnorodnym, bynajmniej nie układającym się po linii hurra optymistycznej publicystyki zjawiskom życia. Kulak się nie wyniósł, aczkolwiek został zdemaskowany. Jest istotnym osiągnięciem młodego autora, że potrafił dać takie ilości szłochochowskie zakończenie — i to zakończenie nie było napisane, przekonywujące. Zdemaskowany Grzelak snuje dalej swe sprytne intrygi i wiele z pewnością kłopotów przyczyni jeszcze młodym spółdzielcom.

Światło nie pali się jeszcze, ponieważ Zakrzewek przewidziany jest w planie elektryfikacji dopiero na następny rok. Jeśli zaś idzie o młodych, to tutaj sprawa jest pozornie nieco bardziej skomplikowana. Rywalizacja dwóch „kawalerów” dzielnie biedniacki Jada — bohatera pozytywnego — biedniaka Józka oraz zamkowego średniaka — Bronka, który aczkolwiek jest ZMP-owcem — pozostaje na usługach kulaków, jest osią książkowego romansu. Dziewczyna

woli Józka, póki Broniek jest wrogiem — zdaje się natomiast skłaniać na stronę Bronka, po jego zerwaniu z rodziną i zdemaskowaniu przezeń wrogiej klki kulackiej.

Pomimo pozornego skomplikowania cała sprawa pozostaje raczej bardzo ubożuchna. Nie chodzi oczywiście wyłącznie o to, że konflikt miłosny jest tu zastąpiony konfliktem ideologicznym, lecz że autor rozegrał go na płaszczyźnie kilku moralistycznych banałów, bez umiejętności głębszego zarysowania uczuć i namiętności ludzkich. Cnota Bronka zostanie nagrodzona, Józek pocieszy się wspólną nauką z jakąś „miłą dziewczyną ze wsi”. Wydaje się zresztą, że autor początkowo chciał konflikt poprowadzić inaczej, że miłość Bronka do Jady miała być raczej sprawą podrażnienia ambicji gospodarskiego syna uprzedzonego w konkurencji przez „dziada”, natomiast miłość Józka i Jady miała otrzymać rangę prawdziwego uczucia, łączącego ludzi o wspólnych zainteresowaniach i celach. Być może później dopiero wpadł Kubalski na pomysły, by Jada była czymś w rodzaju premii za budujący przełom ideologiczny Bronka. W każdym bądź razie załamane początkowej linii, bądź zupełnie zlekceważenie uczuć „prywatnych”, „nie politycznych” człowieka sprawiło, że zarówno konflikt jak i jego rozwiązanie razi czytelnika płytkością i łatwością. Czytelnik nie ma powodu przejmować się perypetiami sercowymi bohaterów, skoro oni sami — może poza Bronkiem — nie zdają się przywiązywać do tego żadnej wagi. Jest to dość powszechne zjawisko w naszej nowej literaturze. Scharakteryzował je trafnie Andrzej Lam pisząc o powieściach Niziuskiego i Drożdż-Satanowskiej: „Jest zatem mistyczny konflikt miłosny, ale nie ma miłości. Wskutek tego konfliktów nie osiąga rangi konfliktu literackiego. Nie ma w nim ani prawdy życia, ani urody jednorodnego zdarzenia, a nie dziwnym się chyba naszym odbiorcom, że szukają tych wartości w literaturze i pragną patrzeć na sprawy ogólne przez pryzmat jednostkowego przeżycia” (**).

Ważną sprawą powieści miała być w założeniu autora sprawa parobka Wojdyń i jego wyzwolenie z kulackiej niewoli. Sprawa została przeprowadzona nieco sensacyjnie, w sposób nie przekonujący czytelnika.

ka. Dziwna wydaje się zwierzęca uległość wobec gospodarza chłopaka tak inteligentnego (wskazuje na to jego pamiętniki i pęd do książki). Kołczyńska pomoc koła ZMP pozostawiona jest ludzkiego ciepła i bezpośredniości, jest naciągana ilustracją tezy o oddziaływaniu zorganizowanej młodzieży na kulacką służbę. Zobrazowanie pracy koła ZMP to przeproszona szansa powieści. Jeden tylko moment ukazany został w wyższym nieco obrazku — opis zebrań zjednoczeniowego i roboty Grzelaka, dawnego prezesa „Wici”, skierowanej przeciw ZMP. Zdawałoby się, że jest to droga, na której można pogłębić sylwetki bohaterów — właśnie polityczne — zarysować różnorodny wpływ ideologiczny, ukazać wahania i dyskusje. Autor jednak poprzestaje na banalnej, powierzonej relacji i już do końca książki nie potrafił zrobić nic, by wykręcić choć trochę prawdy z życia swego koła ZMP-owskiego. Zalałwa wszystko zdawkowymi, biurokratycznymi relacjami o zebraniach. Stosunkowo najlepsze partie powieści odnoszą się do obrazu intryg kulackich — tutaj autor wykazał dużo pomysłowości, nie jest też ujęta wizyta chłopów z Zakrzewka w spółdzielni produkcyjnej. Zresztą rozkładu tu autor relacje o życiu spółdzielców na kilka zindywidualizowanych głosów, zresztą jakże reakcją pytających niespokojne chłopów z Zakrzewka, szukających prawdy swojej przyszłości. Partie te wskazują, że młody autor ma niewątpliwie możliwości pogłębienia swej pracy literackiej, przełamania fatalnej manery pobieżnej, publicystycznej relacji, spływającej obraz życia.

Błędy Kubalskiego wynikają ze słabej jeszcze znajomości życia i płynącej stąd tendencji upraszczania jego treści do kilku ogólnikowych rysów. Przewyciężenie tych błędów zależy od wyczerpanej pracy młodego pisarza i koleżeńskich pomocy czytelników Koła Młodych, którym niedociągnięcia ambicji książki Zdzisława Kubalskiego powinny jasno wskazać na konieczność podjęcia na poziomie wspólnej pracy samokształcenia.

Józef Rurawski

*) Zdzisław Kubalski „Świt” — „Czytelnik” Warszawa, 1952.
**) Andrzej Lam „Czwarte tomy” — „Życie Literackie” nr 17 (41) 1952.

Kronika radziecka

Czytelnicy mówią o książkach

CO roku liczne biblioteki w Związku Radzieckim organizują konferencje i dyskusje z czytelnikami. Takie narady, szczególnie w ostatnim czasie, stały się popularną, masową formą wymiany opinii czytelniczej.

Niedawno odbyła się konferencja w Pałacu Kultury przy Zakładach Samochodowych im. Stalina w Moskwie, zorganizowana przez fabryczny i rejonowy komitet Komsomolu, bibliotekę zakładową oraz filię Wszechzwiązkowej Biblioteki im. Lenina. Na obradach spotkali się robotnicy, inżynierowie, technicy pracujący w zakładach im. Stalina oraz czytelnicy spoza terenów zakładów. Osrodkiem dyskusji stało się zagadnienie: „Praca i życie robotników radzieckich w literaturze pięknej”. Uczestnicy wypowiadali się na temat następujących książek: A. Awdiejewki „Praca”, W. Koczetowa „Żurbinowicz”, O. Ziwa „Gorący czas”, E. Worobjewa „Wysokość” i A. Bylinowa „Metalowcy”. „Litieraturnaja Gazieta” z dn. 13 września r. b. opublikowała teksty niektórych wypowiedzi. Przyjrzyjmy się głosom krytycznym radzieckiej społeczności pracującej. Pozwoli to nam ustalić, co myślą robotnicy radzieccy na temat książek, przedstawiających ich życie, pracę i walkę.

Oto wypowiedź pod charakterystycznym tytułem: „Czemu nudziłem się przy czytaniu”. Pod ostrzałem znajduje się powieść A. Bylinowa „Metalowcy”. Czytelnik uprzedził podkreśla zalety powieści: opisy technologiczne i liczne udane partie, poświęcone produkcji. Zwraca też uwagę na żywo skreślone postacie stachanowców i inżynierów, lecz w całości „Metalowcy” A. Bylinowa nie wywołują silnego wrażenia. Dlaczego? „Wielu działających osób nie można od siebie rozróżnić. W przedstawieniu ludzkich uczuć spotykamy wiele rysów uproszczonych... Bohaterowie niekiedy przymiemy wyrażają swoje uczucia... Język powieści niedbały”. Jak z tej wypowiedzi wynika, powieść A. Bylinowa została skrytykowana głównie za braki w zakresie rysunku bohaterów. Brak odrębności, skąpa indywidualizacja postaci, prymitywizm uczuć i myśli — oto główne zarzuty czytelników.

Inny czytelnik wola: „Wiecej uwagi trzeba poświęcić życiu”. Powieść A. Awdiejewki p.t. „Praca” czyta się z trudem. Dlaczego? Książka obszerna, temat ciekawy: stosunek ludzi radzieckich do pracy. Ale rezultat mało zadowalający. Język powieści nie artystyczny, lecz gazetowy. Przewaga terminów produkcyjnych; opis produkcji jest tak szczegółowy, że miejscami przypomina podręcznik dla szkoły technicznej. Akcja rozwija się monotonnie: zaczyna się dzień, ludzie idą do pracy, następują codzienne, nie zawsze ciekawe wydarzenia, dzień się skończył, rozdział powieści także. W następnym rozdziale znowu to samo. W powieści występują około 40 bohaterów, których niesposób zapamiętać, gdyż są nieciekawi, źle przedstawieni tak w pracy jak i w życiu osobistym. „To wszystko — konkluduje czytelnik — pozbawia książkę wyrazistości, lektura jej nie sprawia większej satysfakcji”.

Sekretarz organizacji partyjnej zakładów im. Stalina w swojej wypowiedzi krytykował powieść E. Worobjewa „Wysokość”. „Myślę — powiedział — że wyrażę opinię większości, jeśli zaznaczę, że literatura nasza w niedostatecznym jeszcze stopniu pokazuje pracę ludzi radzieckich, a szczególnie życie i moralność człowieka radzieckiego”. Inny czytelnik, pracownik oddziału kontroli technicznej, wystąpił z wezwaniem pod adresem pisarzy: dajcie wielostronny obraz człowieka! Nasze pięciolatki — mówił czytelnik, stanowią kardynalne prawo naszego życia, a całe nasze życie podporządkowuje się wielkiemu zadaniu państwowemu. Dlatego też nasza literatura — i przede wszystkim — oto naczelne zadanie krytyków i pisarzy.

Przy Zakładach Lniarskich pracuje biblioteka. Założono ją jeszcze w 1907 roku dla... robotników. Był to wyraźny manewr ze strony fabrykanta, mający na celu srebro diwersji. I rzeczywiście korzyści z niej obok inteligencji lepiej sytuowani robotnicy, głównie majstrów.

Biblioteka pracowała i w okresie międzywojennym, lecz najwięcej pozycje książkowe nie obejmowały zacyzycznej wydawnictw z XX wieku. Kraszewskiego czytano w piwności z lat 60-tych ub. wieku. Przeważały zresztą nie romansidła. Dziś biblioteka liczy ponad 8000 tomów. W pierwszym półroczu br. 2100 czytelników statych wypożyczyło w sumie 32.000 tomów. Cyfry imponujące, ale i tu odkryć można to samo niebezpieczeństwo. Przeglądając uważnie kartoteki czytelników. Przeważnie miejscowi. I znowu brak tych z Borowinowa i Korytowa, dojeżdżających, lub dochodzących na „miane”.

Przodujący aktywni czytelnicy stanowią robotnicy żyrdowscy i młodzi ze szkół średnich i wyższych.

Biblioteka przy Zakładach Lniarskich współzawodniczy z lódką, im. Róży Luxemburg. Ale obydwoje nie spełnia swego zadania dobrze, jeżeli zwiększyć liczbę czytelników tylko z miast.

Tadeusz Chyba

Tadeusz Chyba

W Żyrardowie

V ODRÓŻNIENIU od innych miast województwa łódzkiego — Sieradz, Wielunia a nawet Piotrkowa i warszawskiego takich jak Mińsk Mazowiecki czy Garwolin — Żyrardów z miejsca robi wrażenie miasta robotniczego. Małe, wąskie uliczki, parterowe domki, liczne jeszcze prywatne sklepiki, stanowią jakby tylko przybudówkę. Zasadniczo, dominujący w pejzażu miasta motywu to — zakłady przemysłowe. I wszystko jedno — czy z Warszawy tu przyjeżdżamy, czy z Łodzi. Zobaczymy najpierw niebo nad miastem zamśnięte dymami a następnie wystroszę ponad wierzchołki drzew wielkie komin fabryczne. To miasto liczące ponad 30.000 mieszkańców w zdecydowanej większości jest robotnicze i choć to brzmienie prawdopodobnie — jest bardziej proletariackie niż Łódź. Z tego względu nie istnieją tu sprawy odrwane od życia zakładów przemysłowych. Nie można bez tych fabryk rozpatrywać i życia kulturalnego miasta.

Żyrardów jest pupilem naszej ludowej władzy. Posiada dogodną połozenie, stąd zaledwie 40 km od stolicy. Są to bardzo, że się tak wyrażę, krótkie kilometry, skoro z Żyrardowa odchodzi do Warszawy 25 pociągów elektrycznych na dobę, stąd też ciągła tu nieprzerwana sieć stanic, przyjeżdżają literaci, zespoly artystyczne. Przeciętny robotnik żyrdowski widział balet Gruzini, Moskiewski Teatr Akademicki, Ludowy Teatr Czeskosłowacki, słuchał Paula Robesara, kapeli Namysłowski, zespołu chóralnego Domu Wojska Polskiego, oglądał występy Opery i teatrów warszawskich, orientuje się wcale

nie gorzej we współczesnym repertuarze widowiskowym niż warszawian, uważany, jeżeli używać przejętej, za najkulturalniejszy obywatela w kraju.

Wspaniała sala „Domu Włókniarza”, mogąca rywalizować z najbardziej reprezentacyjnymi w Warszawie i innych wielkich miastach — to miejsce poświęconych występów. Trafiliem właśnie na występ warszawskiego Teatru Powszechnego, który dawał „Niespokojną starość” z Wojciechem Brydzińskim, kandydatem na posła, w roli głównej. Sala wypełniona robotniczą publicznością. Są tu ci z „bielnika”, są „nielnicze”. Wszyscy skupieni na krótką przerwę wychodzą niechętnie, nie chcą ani na chwilę opóźniać przedstawienia...

Byłem początkowo bezkrytycznie rozentuzjuszowany bujnym życiem kulturalnym robotniczego Żyrardowa. Ze zdziwieniem słuchałem wypowiedzi o jednostajnych, nudnych w rezultacie, widowiskach Artosu. Wypowiadali się przeciw robotnicy. Lecz już drugiego dnia sprawa przedstawiała mi się inaczej. Nie chodzi o to nawet, że rozprowadzanie biletów na imprezy wyraźnie szwankuje. Kto bliżej Rady Zakładowej, ten i bliżej sceny. Ten mianowicie zawsze można usłyszeć, i Rzecznik w czym innym. Oto Żyrardów, rzecz się chciało, importuje kulturę z zewnątrz, jego własne, twórcze życie artystyczne zostało jakby zamrożone. Jeszcze na wiosnę pracował świetlicowy zespół artystyczny, brat nawet udział w Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych. Dziś go już nie ma. Doskonale przygotowane zespoly warszawskie i łódzkie mimo woli zahamowały inicjatywę lokalną.



Oczywiście istnieje tu centralne ognisko kultury — „Dom Włókniarza”, pracuje sekcja teatralna, taneczna, chórzyci chór robotniczy, odbywają się lekcje języka rosyjskiego, ale?

Szedłem przez ulice miasta z dwiema młodymi robotnicami — Jasiową i Goldziową. Oświadczyły mi, że żyją kulturalnie z dnia na dzień. Mieszkają daleko od miasta, wstają nad ranem, pędzą 8 — 10 km do najbliższej stacji, po południu jest to samo. Jakże uczestniczyć w pracach „Domu Włókniarza”.

Oto i cały problem. Żyrardów jeszcze nie rozwiązał palącej kwestii mieszkaniowej, hotel robotniczy nie może oczywiście pomieścić tych wszystkich, którzy z dalekich nieraz wsi przybywają tu co dzień do pracy.

Chodzi o tysiące młodych ludzi, ów najmłodszy ze wszystkich proletariatu, chłopięcego, biedniackiego pochodzenia. Polnymi ścieżkami, w deszcz i pogodę, przybywają do fabryk i pracuje, ale kulturalnie nadal pozostają upośledzeni. Pisałem o tylu rozmaitych imprezach artystycznych, krajowych i zagranicznych. Tymczasem Helena Lipińska, robotnica chłopięcego pochodzenia, ta sama, co tu już plan roczny wykonała, oświadczyła mi, że nie pamięta, kiedy była w teatrze czy kinie. Dziewczyna rozumie, że musi poczekać na mieszkanie, ale równocześnie powiada z wyraźnym żalem pod adresem Dyrekcji i Rady Zakładowej Zakładu Przemysłu Pończoszanego: „powinnyśmy wykorzystywać te godziny, kiedy czekamy na drugą zmianę”. Sprawa się wyjaśnia. Związki Zawodowe wolały oczywiście prowadzić robotę kulturalną, polegającą jedynie na rozprowadzaniu biletów na importowane imprezy niż np. zabrać o założenie rozmaitych kół świetlicowych przy swoich zakładach pracy. Świetlica przyfabryczna, pozbawiona odpowiedniego sprzętu świeci pustkami, nie przyciąga „chłopskich” robotników, którzy lękają po mieście w oczekiwaniu na pocąg.

Wysłuchiwałem na ośm zgodnych opinii robotników z miasta, dla

„Serce mi pękało”

(Dokończenie ze str. 4)
które można było zrobić więcej, niżśmy dokonali”.

Serce mi pękało... bo nie ogarniał całej sytuacji. Przeczuwał a nie wiedział, że w tym samym czasie, kiedy tak dumnie i nieustraszenie maszerował na czele swoich na drodze do Gaci, chłopcy, którzy mieszkali z drugiej strony miasta i dlatego oderwali się wcześniej od głównego trzonu pochodu, ulegli atakowi policji i byli bici palami szabli, popędzani końskim galopem.

Co zrobili chłopcy pod jego komendą po dniu, w którym wykazał odwagę, dyscyplinę, zdecydowanie? Po dniu, w którym ich przywódcę poznali, jaką dysponują siłą? Przedstawili swoje dwadzieścia punktów staroście, uzyskali telefon odwołujący pacyfikację Grodziska i obietnicę, że nikt z nich nie będzie przesładowany. Dlaczego więc „serce się krajało”, dlaczego „pękało z bólu” na wspomnienie przebiegu dnia?

Bo wzięły się wpływy Solarza i Nycza, Z pouczenia jednego szły

kompromisy, drugi budził świadomość, co one są naprawdę warte. Prawdziwe skutki marszu stały się powszechnie widome dopiero na jutro. Członkowie delegacji zostali zaarestowani. Protesty, powoływano się na słowo starosty budziły drwiny i śmiech. Wsie otoczono wojskiem i policją, chwytało ludzi w domach, w polu, przechwytało łany zboża szukając tych, którzy chcieli się ukryć. Nie było ucieczki od kary.

A Solarz nadal wierzył, że znajdzie sprawiedliwość w istniejącym ustroju. Zbierał pilne dowody krzywdy, jeździł po wsiach, słuchał i spisywał opowiadania. Z zebrany materiał pojechał do Mościckiego. Najważnie oddzielił postępowanie starosty od zamierzeń głowy burżuazyjnego państwa.

— I naturalnie nie nie osiągnął; za gruntu fałszywy bowiem drogę szedł każdy, kto komunistycznie rewolucji chciał zamienić na nadzieję kompromisu — kończy swe wspomnienia Piotr Świątlik.

Marcelina Grabowska

uczyć się w internacie za miastem, internat natomiast jest nie zawsze dobry. Czy można to pokazać? Można... Trzeba pisać prawdę, a wtedy dzieło trafi do mnie... Praca partyjników pokazana jest szczerze, z przesadą. Taki sekretarz partii nie je, nie śpi — cały dzień biega tylko po fabryce”. Czytelnik uważa, że pisarz powinien ukazywać nie jednostkę partyjną, lecz partyjny kolektyw, który prowadzi i wychowuje zakład.

Czytelnik robotnik nawoływał pilnie do pisania książek treściwych i sumiennej pracy nad materiałem. „Nie podoba mi się tendencja wielu naszych pisarzy do rozległego pisania, nie umieją pisać zwięźle”. Jako przykład czytelnik wymienił „Podlegacz” Szpanowa. W rok po „Podlegaczach” Szpanow wydał również pękatą książkę p.t. „Spis-kowcy”. „Przy sumiennym stosunku do dzieła, materiału z obu powieści starczyłoby na dziesięć lat pracy” — zakończył czytelnik.

Większość zarzutów czytelniczych dotyczy dysproporcji w przedstawianiu spraw produkcyjnych i życia osobistego w powieściach. Tematy życia osobistego, stosunków uczuciowych między bohaterami zaciekawiają coraz żywiej ogół czytelnicy. Artykuł W. Gierasimowej p.t. „Wielka miłość” w numerze 46 „Litieraturnej Gaziety” spełnił rolę przystawki do kija w mrowisku. W Gierasimowej wyoczyła literaturę radzieckiej ciężkiej zarzuty: że pokazuje miłość bohaterów powierzchownie, że postacie tracą przez to na bogactwie indywidualnej, odrębnej charakterystyki. Rezultatem tych braków jest półowocne ukazanie życia osobistego ludzi radzieckich.

Artykuł wywołał liczne repliki czytelników. Redakcja pisma otrzymała małe listy od robotników, kolchoźników, pracowników partyjnych, oficerów Czerwonej Armii. Czytelnicy pisali z najrozmaitszych miejscowości. Plan tej ciekawej korespondencji opublikowała „Litieraturnaja Gazieta” w numerze 94. Czytelnik — bibliotekarz z miejscowości Tiumen zauważył: „Pisarze niszczą w swoim bohaterze człowieka z sercem i duszą, czyniąc z niego jakiś abstrakcyjny schemat... Prawdziwa, rozumna miłość jest ogromną życiodajną siłą, która daje natężenie, pozwala lepiej wypełnić społeczny obowiązek”.

Dyskusja potrącała o temat miłości w powieści A. A. A. „Daleko od Moskwy”. Wielu czytelników nie zgodziło się z tezą W. Gierasimowej, jakoby w wymienionej powieści zabrakło indywidualizacji postaci i ich uczuciach miłosnych.

Czytelnik z Leningradu pisze o potrzebie ukazowania pełnego życia uczuciowego bohaterów powieści. „Temat miłości w literaturze jest bardzo potrzebny, ale zbyt często i szkodliwie są drobne historie miłosne, pakowane do książki dla odświeżenia ciężkiego i nieczytelnego utworu”. Czytelnik z Kazania zastanawia się nad zagadnieniem miłości i obowiązku. „Obowiązek dla radzieckiego człowieka — pisze czytelnik — jest czymś wyższym nad osobistą miłość. Obowiązek nie tylko w stosunku do ojczyzny, do społeczeństwa, ale w stosunku do rodziny, do człowieka — jest to ważny rys nowej komunistycznej moralności. Jeśli prawdziwy człowiek radziecki ma wybierać między miłością a obowiązkiem — górę bierze obowiązek. Niestety, ten temat nie znalazł jeszcze pełnego opracowania w literaturze pięknej”.

Inny czytelnik z Leningradu omawia różnicę między przedstawieniem miłości w literaturze burżuazyjnej i radzieckiej. W literaturze burżuazyjnej miłość staje się czynnikiem egoistycznym i destrukcyjnym. U pisarzy radzieckich pomaga ludziom. Tak jest w powieści P. Paulenki „Szczęście”, w „Krużyłyszce” Pano-wiej, wreszcie w „Burzy” Erenburga.

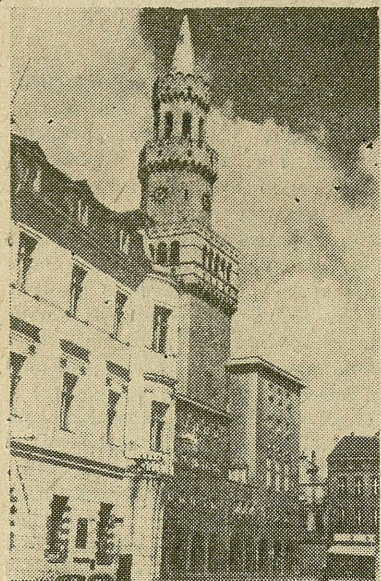
Jedną z czytelniczek nie szczędził pisarzom gorzkich zarzutów. „Omawiając przeczytaną książkę czytelnik niejednokrotnie dziwi się i smuci, dlaczego autor tak skąpo i szaro przedstawia najpiękniejsze uczucie ludzkie — miłość? Czy życie naszego człowieka radzieckiego składa się jedynie z codziennej pracy? Czy człowiek radziecki nie potrafi dobitnie zaprezentować swych wartości, gdzie rzecz dotyczy miłości do kobiety, mężczyzny, dzieci? Dlaczego autorzy pokazują we wszystkich tych wypadkach bohaterów niezadanych, tępych, śmiesznych? Dlaczego bohaterowie tracą naraz całą swoją inwencję, rozsądek, prostotę i urok?”

Redakcja kończy przegląd listów następującym posłowiem: „Odpowiedzi czytelników na artykuł W. Gierasimowej „Wielka miłość” świadczą o tym, że sprawa głębokiego i wielostronnego przedstawienia miłości w literaturze pięknej wymaga troskliwe uwagi pisarzy. Czytelnik żąda od literatury pełnego obrazu człowieka radzieckiego”.

Grzegorz Timofiejew

JAN KOPROWSKI

W Opolu i województwie



OPOLE położone nad Odrą, ciche, piękne miasto, jakby wymarzone dla pracy naukowej, od chwili gdy zaawansowało na siedzibę województwa, nabrało większego rozmachu i stało się żywym ośrodkiem kultury. Myślę, że warto tu zwrócić uwagę na fakt, jak wielkie znaczenie dla rozwoju każdego miasta ma jego awans administracyjny. Opole jest klasycznym tego przykładem. Pojawia się tutaj dziennik „Trybuna Opol斯卡”, odgrywający niezwykle ważną rolę w życiu zarówno miasta jak i całego województwa. Z jednej strony bowiem dziennik ten pomaga społeczeństwu w budowie nowego życia, stanowi ognio uświadamiające, mobilizuje do realizacji zadań, które stawia przed całym narodem rząd i partia, z drugiej zaś — odkrywa piękno Opol斯卡, wskazuje na jego wieloletnią przeszłość, na rewolucyjną ludową teraźniejszość i przyszłość. „Trybuna Opol斯卡”, która w najbliższym czasie uruchomi stały tygodniowy dodatek kulturalny, skupia już dziś wokół siebie pokątną liczbę utalentowanych ludzi — być może przyszłych doświadczeni pisarzy. Warto również wspomnieć, że w obecnej chwili nakładem „Trybuny” ukazało się kilka interesujących książeczek, m.in. Ryszarda Hajduka „Kartki z przeszłości Ziemi Opol斯卡”, Marii Klimas-Białutowej „Kobiet Ziemi Opol斯卡” i Jana Baranowicza „Chłopska pieśń walki i zwycięstwa” — o osiągnięciach wsi powojennej na tym terenie.

Niemalą rolę w upowszechnieniu kultury spełnia Opol斯卡 Orkiestra Symfoniczna, dająca systematycznie koncerty, zbliżającą ludność Opol斯卡 do muzyki polskiej oraz Wojewódzka Spółdzielnia Pracy Muzyków im. Stanisława Moniuszki mająca duże zasługi w pracy na terenie świetlicowym. To właśnie staaniem i nakładem tej spółdzielni ukazują się złozone z dwu części „Śpiewnik Opol斯卡”, przeznaczony dla zespołów świetlicowych i obejmujący dorobek ludowy w pieśni na przestrzeni wielu lat. Ma to szczególne znaczenie dziś, kiedy ziemie zachodnie zespala się z materią tworzącą coraz bardziej jednolity organizm państwowy. Wydobyć wszystkich, co cenne, z przeszłości i powiązanie tego z naszymi zdobyczami tworzy podwalinę pod socjalistyczną ogólnonarodową kulturę.

Myślę, że nie dość jeszcze zdajemy sobie sprawę z wagi teatru, z jego roli i znaczenia dla terenu. Państwowy Teatr Ziemi Opol斯卡 bije pod względem częstotliwości wyjazdów rekordy wszystkich innych teatrów w Polsce. W wędrownych kółkach spotykałem ten teatr niejednokrotnie w powiatowym miasteczku, na wsi i w spółdzielni produkcyjnej. Teatr Ziemi Opol斯卡 częściej występuje w terenie, niż w Opolu. O kolosalnej jego robocie polityczno-wychowawczej wartoby napisać oddzielnie.

I wreszcie, zanim pójdziemy w województwo, wspomnijmy o pracach wykopaliskowych, prowadzonych w Opolu. Odkrycie tutaj wczesnopolskiej osady z X wieku ma niebywałe znaczenie dla poznania kultury i dziejów tej części Śląska. Będąca rozpoczęta w jesieni 1947 roku posunęła się już bardzo daleko. W wyniku tej pracy powstanie w Opolu wielkie muzeum historyczne, którego zbiorzy świadczyć będą o niewątpliwie polskości tych ziem, o tym, że powrót na te ziemie Polski Ludowej jest aktem wielkiej dziejowej sprawiedliwości.

Rola Opol斯卡, jako miasta wojewódzkiego, promieniującego na cały teren Śląska, wzrosła jeszcze, gdy powstanie tutaj wyższa uczelnia typu humanistycznego, przewidziana w przyszłym planie pięcioletnim. Opole stanie się ważnym ogniskiem kultury w naszym kraju.

W wsi Chocianowice młoda nauczycielka i zarazem kierowniczka szkoły Maria Magiera, przygotowuje występy dzieci na uroczystości i akademie. Dba o bibliotekę i czytelnictwo w szkole i poza szkołą. Troszczy się o młodzież pozaszkolną.

Jan Koprowski

IRENA SCHEUR

Książka żyje w człowieku

PRZYWYCZAJENI jesteśmy, że o książkach wypowiadają się na łamach pism, zwłaszcza literackich wyłącznie „za wodami” krytycy, niewiele stosunkowo pisało się u nas o masowym czytelniku, jeszcze rzadziej on sam wypowiadał się w prasie. Poza tygodnikiem „Wieść” i prasą samopomocową na ogół głuchym było o dorocznych konkursach czytelników. A przecież chodzi tu już nawet nie o tysiące, lecz o dziesiątki tysięcy czytelników, doznających najrozmaitszych wzruszeń pod wpływem książki, wyciągających z lektury nadszperkowane słusne i ciekawe wnioski, mogące w równym stopniu pomóc krytykowi co i pisarzowi.

Z chłopskimi wypowiedziami na temat przeczytanych książek jest tak, że przeczytała się kilka pierwszych z brzegu, a potem już się od nich oderwać nie można, tak silnie pasjonują i wciągają.

Dwie zwłaszcza sprawy wysuwają się na czoło jeśli chodzi o sposób w jaki przeżywa książkę masowy, chłopski jej czytelnik. Pierwsza to — prawidłowe wiązanie treści książki z bieżącą sytuacją, choćby nawet dotyczyła ona minionych już lat.

Władysław Ziental, chłopka ze wsi podkrakowskiej pisze o książce Niekrasowa „W okopach Stalingradu”: „Najważniejsze wydarzenie opisane w książce to napad na Stalingrad. Bo właśnie taka ciężka klęska była i w naszym kraju, niszcząc nam najpiękniejsze miasto, naszą stolicę Warszawę. Wiemy co to znaczy wojna, wiemy co to znaczy głód i chłód. I właśnie wtedy była zacięta walka. Ale nie pozwolono wrogowi zająć miasta. Stalingrad został ocalony, a hitlerowski Niemcy musieli się cofnąć do swego kraju. Ale to było i nasze zwycięstwo, bo bez niego nie mielibyśmy dzisiejszych praw i dlatego wdzięczni jesteśmy Związkowi Radzieckiemu”.

Rozumiemy, że w pamięci chłopów, którzy jak i cały naród, orzeźli wojnę i faszystowską okupację, żyje nadal świetne zwycięstwo radzieckiego oręża, które otworzyło nową epokę w życiu Polaków. Ale, co ważniejsze — książki opowiadające nawet o zamierzonych wydarzeniach dają czytelnikowi chłopskiemu okazję do odkrycia analogii w bieżącej, aktualnej sytuacji politycznej.

Stanisław Augustyniak ze wsi Smolnowice (Miechowski), chłop po

trzech zaledwie oddziałach starej, tradycyjnej szkoły ludowej pisze na marginesie „Krzyżaków” o złamaniu pychy i potęg najeźdźcy, który uważał się za niepokonanego. „Tych średniowiecznych, okrutnych imperialistów pokonali Polacy, Rusini, Czesi i Litwini”. A na zakończenie dodaje: „Dzisiaj w Korei Amerykańskiej też się doczekają za te okrutne zbrodnie, niewinnie przelaną krew. Przyjdzie na nich kres za ich sztydercze występki jak na Krzyżaków. Lu-



Foto — CAF

dzie miast i wsi, pragną pokoju, bo wszyscy wiedzą co znaczy wojna”.

O czym świadczą te wypowiedzi? Krótko mówiąc o dużej świadomości politycznej masowego czytelnika chłopskiego. Dziennikarz konserwatywny „Czasu” wymyślał w „Weselu” Wypiańskiego Czepca, kiedy twierdził, że chłop swoim rozumem i do Chin trafi. W naszych ludowych warunkach czytający chłop wykazuje dowodnie, że nie są mu obce międzynarodowe wydarzenia. Książka prowadzi go do samodzielnego wnioskowania, aktualizując poznane problemy. Porównanie Krzyżaków z agresją amerykańską na Korei wymaga głębokiego przemyslenia, jasnego rozumienia procesów

historycznych, zdania sobie dokładnie sprawy z tego, że wspólny wstępek narodów, pragnących pokoju, prowadzących sprawiedliwą wojnę, musi doprowadzić do zwycięstwa.

Kiedy nasz chłop mówi o wyższości w systemie kapitalistycznym, to przeszkody w rozumieniu sytuacji świata pracy na drugiej półkuli, gdzie w zamorskich krajach — nie znajduje. Oto wzruszająca wypowiedź Katarzyny Jesionka, biedniaczki z Zaborowa, w związku z „Cha-

tecznej, „aparatem naukowym” — jak sam często powiada, gubi zwykłą, niejako codzienną, praktyczną wiedzę o życiu, zaprzeczając szereg doświadczeń społecznych, bez wprowadzenia których trudno zaiste ocenić masową użyteczność książki. Z chłopskim czytelnikiem jest akurat odwrotnie. Wypowiada się o książce właśnie wtedy, kiedy się od niej nie oddziela, kiedy żyje z nią jak z dobrym sąsiadem w swojej gromadzie.

Czytają nazwiska bohaterów literackich — Deczyński, Krzysiak, Rakoczy, Plewa, Janko Muzykant, jakby to byli dobrzy znajomi, nie fikcyjne postacie, lecz rzeczywiście żyjące. Przy takim doznawaniu perypetii bohaterów, jakby oni rzeczywiście żyli, możliwe jest wprowadzenie wielu interesujących refleksji ze strony czytelnika chłopskiego.

Helena Pietraszkowa z Igołomi w ten sposób pisze o „Opowieści o prawdziwym człowieku”: „Opowieść wzruszyła mnie głęboko. Los lotnika radzieckiego, pozbawionego nóg w walce powietrznej pobudził mnie do tego. Wraz z nim chciałam się możliwością chodzenia za pomocą protezy i możliwością walczenia z powrotem dla obrony ojczyzny. Chciałabym go poznać osobiście”.

A więc żywa postać, która można poznać osobiście! Mimo woli narzuca się uwaga: zły książki, sztuczne bohaterstwo czytelnik tak szczerze i bezpośrednio nie przeżyje, nie będą go cieszyły lub smuciły jego losy. Pełny, plastyczny odmalowany bohater literacki a nie „ankieta personalna” stanowi podstawę najszerzej decydującego związku czytelnika z książką. Jakże często nie wystarcza to krytykowi!

Lektura wypowiedzi konkursowych prowadzi do wniosku, że należy silniej powiązać oficjalną krytykę ze swoistą, terenową recenzją masowego czytelnika.

Chodzi tu nie tylko o to, że nasz czytelnik w wypadku trudności w rozumieniu problemów książki, szukał będzie pomocy u krytyka. Idzie także o to, że „oddzielony od dzieła” krytyk, kiedy oddzieli się równocześnie od mas czytelników, dla których przecież pisze książki, zawiesi w próżni, to go setki tysięcy czytających ludzi podeprze wiedzą o życiu, bez której nie wyobrażają sobie mówienia o literaturze.

Irena Scheur

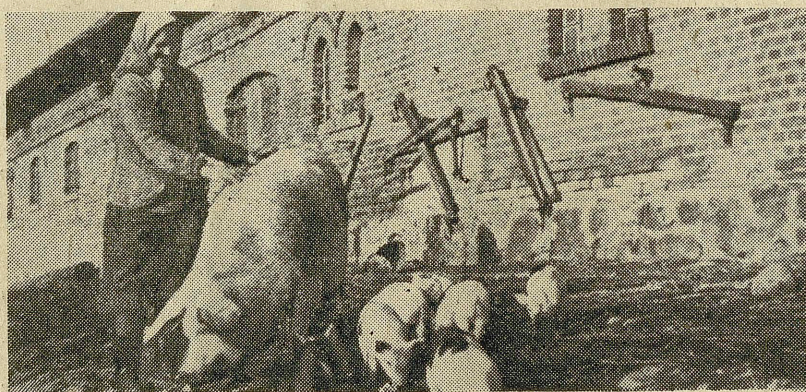
LUDWIKA LACHTAROWA

Chlewnistrzyni

DAWNIJ przed wojną byłam służącą, gdyż od 13-go roku życia straciłam rodziców i musiałam pracować sama na siebie. Pracowałam po majątkach jako posyłka, później u gospodarzy jako służąca. Nie łatwe było moje życie i nie radosne.

W r. 1945 po wyzwoleniu wyszłam za mąż. Dostaliśmy 5 ha ziemi z reformy rolnej. Pracowaliśmy na niej przez 3 lata z mężem do czasu założenia spółdzielni produkcyjnej w naszej gromadzie.

Nie było łatwe założenie tej spółdzielni, ponieważ przekazywali nam kucyki, puszczały różne plotki, że my nie będziemy w spółdzielni mieli chleba, że będziemy mieli wspólny kocioł, że nie dostaniemy pieniędzy, że nie będziemy mieli nawet jednej sukni, a tylko kombinizon na cały rok i jak nam się ten podoba. To dopiero dostaniemy drugi. Na takie plotki jednak nie zważałam, ponieważ byłam pewna, że to co wytycza nasza partia i do czego prowadzi nasz Rząd Ludowy robotniczo-chłopski, nie może być złe dla nas, musi



J. K. Maciejewski

być lepsze i jest lepsze! To są fakty. Toteż nie zważając na to, jako pierwszą z kobiet zapisałam się na członka spółdzielni produkcyjnej.

Dwa lata pracowałam w polu na roli. Później, ponieważ nie było nikogo w chlewni, podjęłam się pracować jako chlewnistrzyni. Kiedy obejmowałam chlewnię, liczyła ona 38 sztuk świń, w tym jeden knur i trzy macyory, reszta to były wszystkie prosiaki 8-tygodniowe. Dzięki mojej pracy, którą się mogę poszczycić, podniosłam hodowlę na 72 sztuki z tym, że już mam plan żywcia oddawiony 67 kg ponad plan i do końca roku jeszcze kilka bekoniów odejdzie.

Jestem z tego dumna. O ile przed wojną wstydziłam się, że jestem służącą, wstydziłam się o tym powiedzieć, o tyle dzisiaj dumna jestem i szczerze jej moją pracą jako chlewnistrzyni, że mnie powierzono taki obowiązek i że mogę podnieść pro-

zębyć nie byli głodni i cieszymy się, że w macie pełny żłodek, jak my. Dawniej bowiem i my byliśmy głodni i harowaliśmy o pustym żłodeku. Dziś tego już nie ma!

Wykonamy Plan 6-letni, a przez to, co leży nam na sercu!

Ludwika Lachtarowa
Spółdz. prod. Wolica
woj. bydgoskie

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że porządku od m-cy stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wjeżdżają na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy



FRANCISZEK ŚNIEG

W powiecie Sławno-obwód nr 105

BYŁO jeszcze szaro, kiedy wyborcy już wychodzili na drogę, i wyglądali, czy wozu z podwórek zajeżdżają pod szkołę, skąd wszyscy mieliśmy wspólnie iść do gromady. Byli między nami również wyborcy 18-letni: nauczycielka Teresa Drabik ze swym przyszłym mężem Janem Kasickim i dwóch braci Kępińskich — Czesław i Edward, traktorysty, co wyrabiali 135 proc. normy przez całe lato. Oni w swym życiu po raz pierwszy mieli oddać swe głosy. Byli też starcy i ciężarne kobiety — po nich, że nie mogli jechać z nami na wozach, przybyli samochód pod sam próg, bo chcieli brać udział w wyborach.

Ze wszystkich stron nadjeżdżały wozy pięknie udekorowane zielenią, szturmówkami, transparentami, a na czele pierwszych wozów wszędzie widniał portret pierwszego kandydata Narodu, Prezydenta Bolesława Bieruta. A choć nie widniało nazwisko Prezydenta na naszych kartach, ale widzieliśmy Go na portrecie, czuliśmy jakby żywą postać pośród nas.

W lokalu wyborczym w Bobrowicach już o godz. 6.30 pełno było ludzi wewnątrz i wokół szkoły, bo wszyscy chcieli być pierwsi przy urnie. Oddawaliśmy bowiem głosy nie pod strachem, nie pod terrorem pałki policyjnej tak jak to było za rządów sanacyjnych w 1935 r. Sam pamiętam takie głosowanie w pow. Nisko, woj. rzeszowskiego. Dziś głosy nasze oddaliśmy z serca, wiedząc na co i na kogo głosujemy. Dziś my nie pałkowaliśmy i pańskie liszys, żeby głosować za obszarnikami i fabrykantami, albo jak głupi za kiebasą i wódkę. Dziś u nas wszystkich była jedna myśl i jedna radość: jeśli

kochasz nasz kraj ojczysty i naszą Ziemię Koszalińską, jeśli pragniesz Polski silnej, niepodległej i szczęśliwej oddaj swój głos na listę Frontu Narodowego za takimi kandydatami na posłów, jak: Wacław Lewikowski, Maciej Elczewski, Zofia Kulinska, Helena Janowska, Stanisław Pingielski, Jan Kocot, Aleksander Kieloch. Za nimi oddaliśmy nasze głosy. Bo są to ludzie spośród nas, są to ludzie, którzy swoim życiem i pracą dla Polski, dowiedli że nie zawiodą zaufania narodu, że zostaną wierni woli swych wyborców, że nie będą szkodliwi dla dobra ojczyzny i szczęścia człowieka pracy. Wszyscy oddaliśmy głos do urny wyborczej bez żadnych skręśleń ani dopisków. Bo i kogo było skręślać? Przecież wszyscy kandydaci to znajomi, spośród nas. Słyszałem, jak chłop, liczący chyba 80 lat mówił do drugiego: — Te Zofie Kulinskiej ze spółdzielni produkcyjnej Masłowie znam. Z biedy to wyszło, sierota była, u bogaczy służyła, a cudów w tak młodym wieku dokonała w spółdzielni. Rozum ma, serce ma i wytrwałość. Takich kobiet dawniej nie było.

O godz. 12-tej 95 proc. ludność oddała swe głosy, a o godzinie 13.00 skończyło się już głosowanie w lokalu nr 105, a to dlatego, że wszyscy chcieli być pierwsi. Jesteśmy dumni bez granic z posłów, których wybraliśmy. Ten dzień pozostanie dla nas pamiętny na długie lata, bo ten dzień wzmocnił i okrył dumą nasz Front Narodowy. W tym dniu zamianowaliśmy raz na zawsze, że jesteśmy silni i zjednoczeni w budowaniu nowej Polski.

Franciszek Śnieg

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 721-85 Tel.: Redakcji 751-80 do wewnątrz 91, 63.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW „PRASA” Warszawa Marszałkowska 3/5 3-B-26584